Spis rzeczy:

O świętym Martynianie.

W nieocenionych zapiskach świątobliwego Symeona Metafrasta, niby w ogródku, skrzętnie dla chwały Bożej sadzonym, między żywotami świętych i błogosławionych, w których tak obfitują wieki pierwsze Chrystjanizmu, niepoślednie miejsce zajmuje opis żywota świętego Martyniana pustelnika, kwitnącego około roku Pańskiego 415. — O prawdziwości nawiedzionych w tym opisie faktów nie możemy zgoła powątpiewać, gdyż powtórzone są w dziełach takich żywoto-pisarzy, jak wielebny Beda, Palladjusz, Adon biskup i inni. A chociaż Euzebjusz w swej historji Kościoła nie wspomina o Martynianie, to natomiast przytacza żywoty mężów, których znowu Metafrast nie wymienia. Jakkolwiekbądź wszyscy zgadzają się, że Martynianus w świątobliwości żywota swojego nie ustępuje najbardziej zasłużonym mężom; a choć męki za wiarę nie cierpiał, przecie męczennikiem był niemniejszym od innych, i przez to palmę rzadkiej świętości odzierżył, iż siebie zwyciężyć zdołał.

ROZDZIAŁ I.

Urodzony w mieście Cezarei Palestyńskiej, w domu wielce zamożnym, młody Martynian nie odróżniał się zrazu swemi uczynkami od zepsutych bogactwy rówieśników. Już od wczesnych lat okazywał skłonność nieprzystojną do niewiast, tylko nieśmiałość pewna, właściwa młodemu wiekowi, a więcej jeszcze niemożność rozrządzania majątkiem swym, były mu poniekąd hamulcem w tych grzesznych zapędach. Straciwszy rodziców oboje w 18-tu leciech, znalazł się Martynian na drodze śliskiej do zupełnego upadku. Nagle odziedziczony majątek wraz z niedoświadczeniem wieku i zgubnemi popędami ciała, wiodły go prosto na piekielną przepaść. Ujrzał się teraz zwolnionym ze wszelkich wędzideł. Długo hamowana skłonność buchnęła zgubnym płomieniem, i nieobaczny młodzieniec rzucił się z całą gorącością lat swoich w kałuże rozkoszy, które mu szatan ułudnie jako ogrody raju malował.

*

Uwaga. Kto nie zna szatańskiej chytrości, snadnie może się o niej przekonać, spojrzawszy na kałużę stojącą —: widzi w niej jakoby niebo, choć w rzeczywistości jest to kał mętny i błoto. Tak tedy szatan za przyrodzeniem się skrywa, aby tem łatwiej oczy i dusze ludzkie uwodzić.

*

Wkrótce Martynian nietylko że duszę swoją w studni nieczystej po uszy pogrążył, ale, co gorsza, stał się przykładem zepsucia dla wielu nieletnich towarzyszy.

Lecz Bóg widać czuwał nad nim i zamierzył w niezbadanych swych celach z tego zepsutego chłopca uczynić naczynie swoje.

Kiedy bowiem tak broił, a żadnego już pomiarkowania nie miał w swych postępkach, nagle dotknięty został chorością okrutną, która go na łoże boleści złożyła.

Cierpiał długo i srodze. I wtedy to za łaską Bożą przyszło nań upamiętanie. Zobaczył, że rozkosze, które go do tej chorości przywiodły, przemijającemi są złudami czarta i gorzkie w skutkach swoich, a Bóg jeno jest pewnością i słodką przystanią.

Począł tedy opłakiwać w długich nocach udręczeń grzeszne postępki swe i wołać z głębi serca:

— Wybaw mię, Panie, z nędzy ciała, a już Ci całą duszą służyć pocznę i chwalić Cię będę przez resztę żywota aż do wydania tchu.

Szatan, który pewnym był, że już duszę Martyniana trzyma w swoich kleszczach, widząc te jego zabiegi, zaniepokojony, jął go mącić w zamysłach. Podsłuchawszy raz, jak Martynian skruchę głośną przed Bogiem wyznawał i zarzekał się, że już nie

wróci do grzesznego życia, stanął przy jego łożu jako jeden z towarzyszy zabaw i drwił słowami:

— Cóż to za kłamstwa, Martynianie, powiadasz? Wiesz przecie sam, tak dobrze, jak ja, że skoro tylko wyzdrowiejesz, nie zamkniesz się na puszczy, lecz wrócisz do swych hulanek, które mimo wszystko nie są takie złe, jak ci je myśl, boleścią schorzała, przedstawia. Tylko się strzec winieneś zatrutych strzał Wenery.

To znowu przybrał postać kuszącą jednej z niewiast, z któremi miał młody Martynian sprawy, i, nachylony nad nim, szeptał:

— Nic nie przeważy moich pieszczot... Niczem ból, niczem cierpienie... Jeszcze je dotąd czujesz we krwi swej, nieprawdaż?

Lecz Martynian uszy na te podszepty zatykał i trwał w uporze nawrócenia.

Tedy szatan, widząc, że tak nic nie wskóra, wziął na się postać starego lekarza, który czasem Martyniana nawiedzał i rzekł mu na odchodnem z szorstką otwartością:

— Słabość twa nieuleczalna. Żadna moc tu nie poradzi. Wiedz o tem. Mówię ci, abyś się próżno nie łudził.

Jednakże Martynian nie tracił nadziei. Uczynił ślub w sercu swojem, że gdy go Bóg z chorości tej mocą swą podniesie, rozda resztę majętności swej, uda się na pustynię i tam, zdala od powabów

świata, żywot swój będzie wiódł w czystości, modlitwą krzepiąc się i umartwieniem.

I tak się za wolą Bożą stało. Bóg bowiem dopuścił nań tę chorość, jak i poprzednie popadnięcie w sidła, aby z nawrotu jego ku ścieżce zbawienia tem większa niebu była radość.

RODZIAŁ II.

Było niedaleko Cezarei Palestyńskiej wzgórze pustynne, nazwane *Locum arcae,* gdzie się różnemi czasy wielu ludzi Bożych w szkole pokuty i żywota doskonałego ćwiczyło. Wielu z nich pomarło, Bogu i aniołom jego oddając dusze, weselem szczęśliwe; inni zasię odeszli, nie mogąc srogości wielkiej onej pustelni wytrzymać. A tak pozostały po nich chatki, które raczej twierdzami możnaby nazywać, bo wiele przetrzymały różnemi czasy napaści szatańskich, i od niejednej ich ściany wróg, pohańbion, ze wstydem musiał odstąpić.

Jedną z takich opuszczonych chat w pustyni owej zajął Martynian nawrócony i w niej odtąd zamieszkał. Żywił się jagodami leśnemi i tem, co mu kto z natchnienia Bożego z prośbą o modły podawał. Niktby w tym pustelniku wynędzniałym nie rozeznał owego świetnego młodziana, ulubieńca niewiast lekkich i zepsutej młodzieży.

Nie ostawił go w spokoju szatan pobity. Owszem nagabywał go często, nawodząc mu na oczy chwile przeżyte w hulankach, jako coś niezastąpionego, to

przedstawiając inne, ułudniejsze, które mógłby przeżyć jeszcze, gdyby sam zechciał. A tak się w tych podstępach zdrajca zaczaił, że trudno go było nieraz przeznać. Wielokrotnie bowiem i niewinnych stworzeń boskich używał do swych sztuczek. — Raz naprzykład zdołał śpiew słowika, który w pobliskim krzewie nucił, tak do ułudy przemienić, że klęczącemu w celi Martynianowi wydał się ów śpiew tkliwem wołaniem niewieściem, które ku rozkoszy wzywa. Co słysząc, święty pustelnik, znajom już sztuczek djabelskich, wychodzi za próg, porywa kamień ze ziemi i całym rozmachem ciska w krzew zdradziecki —: a tak wnet ucichło wszystko, i słowik przestał nucić.

I nie dał się Martynian zwieść djabłu. Stał się tylko odtąd jeszcze ostrożniejszym i podejrzliwszym wobec stworzenia leśnego, którego szatan, mający władzę przemiany, może snadnie za pozór używać w swoich zdradliwych podejściach.

Miał on zaś na jego napaści wrogie broń niezawodną w modlitwie. Dnie i noce spędzał na umartwianiu ciała i umacnianiu duszy, a w ranki pogodne, gdy go słońce budziło na łożu pokutnem, zrywał się, biegł na skałę wyniosłą, opodal chatki stojącą, i wraz z ptactwem rozdzwonionem nucił psalm:

„Niech chwali Stwórcę i Pana,
Wszelkie stworzenie żyjące,
Niechaj go chwalą żywioły,
Powietrze i wody lśniące...“ itd.

A tak ćwicząc się w żarliwości pobożnej, do wielkiej świątobliwości był doszedł. Aże Bóg w łasce swojej dał mu dar cudów czynienia, jako to: wypędzania czartów i uzdrawiania gorączek.

Sława jego wnet się rozniosła daleko, i szli doń zewsząd po ratunek i zdrowie, a nikto bez pociechy nie odszedł; chyba jeno niewiasty co młodsze, przed któremi drzwi chatki pustelnika były zwyczajnie zamknięte, albowiem łacno przy nich mógł się czart do wnętrza wśliznąć.

*

Tak minęło lat czternaście, odkąd Martynian do tej pustelni był przybył.

Tedy szatan, widząc, że podjazdami nic nie wskóra, rozpoczął wojnę otwartą.

Wziął na się postać odyńca srogiego i począł kłami rozrywać obicie chałupki. Już taki otwór był uczynił, że wiatr mógł lekko wchodzić. Lecz gdy święty krzyknął nań imieniem Bożem, odpadł, jakby postrzelon, od ściany.

To znowu stanął na progu w postaci wilka strasznego, mniemając, żeby się pustelnik uląkł. Lecz ten przeżegnał go tylko, i czart, jak niepyszny, wtuliwszy ogon pod się, w las musiał zmykać.

A zaś razu pewnego rozwichrzył las wszystek i taką zrobił popłochę w pustyni, że się widziało, iż drzewa wszystkie upadną i chałupka się nie ostoi.

Lecz święty Martynian Bogu się ufnie polecił i podczas całego owego hałasu śpiewał psalm:

„Pan mię otoczył ramieniem
Jakoby opływem rzecznym,
Pod twierdzą Jego opieki
Czuję się zgoła bezpiecznym"... itd.

A tak czart musiał psoty swej zaprzestać. — Gniewem przejęty, iż się mu jego sztuki nie udają, i wystraszyć świętego władzą swą nie może, począł głazy z góry staczać na chałupkę... A gdy i to nie pomogło wobec Boskiej opieki, przeYwał tamę potoku i wodę puścił na komórkę świętego, mniemając ją zatopić. Srożył się coraz bardziej. — Aż wreszcie wjechał do celi pustelnika jako smok widomy, gdy ten na modlitwie był zabawion. — Nie zląkł się bynajmniej święty, lecz owszem drwić począł z niego, mówiąc:

— Prawdziwieś postać przyjął godną, bo czołgać ci się godzi. Aleś mię cale nie ustraszył. Mając ja Pana mego za obrońcę, z ciebie się śmieję i urągać ci będę podług psalmu: „Oko moje wzgardzi nieprzyjacielem moim..."

Umknął czart, widząc, że jest odkryty w tej postaci, lecz, uchodząc, zagroził:

— Poczekaj! najdę ja na ciebie sposób. Sam się w pułapkę zatrzaśniesz. Już ja wiem, co cię uwiedzie...

A święty pustelnik, mało zważając na pogróżki czarcie, chwalił Pana, obrońcę swego.

ROZDZIAŁ III.

W mieście Cezarei, w domu pewnej pięknej wdowy, imieniem Zoe, która wiodła żywot dość swobodny, a majętną będąc, lubiła naśladować wystawny tryb życia sławionych ateńskich heter, zebrało się razu jednego na wieczerzy spore grono jej wielbicieli.

Mówiono, jak na podobnych zebraniach, gdy niedość jeszcze podpiją, o rzeczach wzniosłych. Ktoś zaczął mówić o cnocie. Dawano więc różne pojmowania cnoty, zależnie jakiemu kto zawodowi był poświęcon, i zgodnie przyznawano, że w dawniejszych wiekach cnoty obywatelskie więcej były cenione, niż za dni owoczesnych.

— Czyż to nie godne zastanowienia — mówił Chereas, właściciel składu win kypryjskich — że nawet Plato, którego poprzednikiem Chrystusa nazywają niektórzy pisarze dzisiejsi, w swej fantazyjnej Rzeczypospolitej na pierwszem miejscu kładzie i do cnót najwyższych wynosi obowiązki względem państwa.

Arystodor, który, odkąd stracił majątek w grze, stał się złośliwym dla przyjaciół, szepnął do ucha sąsiada, tak jednak, by go słyszano przy stole:

— Chereas zgłębia filozofję Greków, odkąd zaczął handlować winem greckiem. Zdaje się jednak, iż wino jego bardziej nam idzie do głowy, jako że jest zaprawne fałszem, niż jemu filozofja platońska.

Poczęto parskać śmiechem, a Chereas, marszcząc brwi zagadnął:

— Kto mówi o fałszowaniu wina?

Na to śmiech huczny wypadł ku stropowi.

— Cnota jest rzeczą względną — podjął, gdy się uciszyło, Zenos, były nauczyciel pięknej Zoe, staruszek rzeźwy jeszcze, któremu wino, jakby chłopcu, ubarwiło policzki. — Tak, powtarzam, cnota jest niepewną rzeczą. Za jedną z pierwszych cnót uważano w Grecji dawnej pielęgnowanie ciała i wogóle przymiotów fizycznych, podczas gdy dziś jest to za złe poczytane. Podobnie jest wszystkiem tak. Co jedna epoka ku słońcu podniesie, to druga w otchłanie zepchnie, a niskoważone poprzód wydobędzie. Czas jest wagą ruchliwą, ciężarki ludzie oznaczają, zależnie od upodobań. Raz waży to, raz owo. Ludzie więc w różnych epokach różne uprawiali cnoty...

— Tylko jeden poborca zawdy jednako był niecnotliwy — wtrącił Zent, właściciel młynów, kierując wejrzenie złe w stronę Prokulla, poborcy, który siedział w końcu stołu.

— Przeciwnie — odrzekł ten spokojnie, ogryzając z uwagą nóżkę indyczą — był zawsze podstawą państwa. A to jest cnota niezmienna i, jakeśmy tu słyszeli, jedna z najpierwszych, którą równie Platon uznawał, jak Epikur, jak i sam Chrystus. „Oddajcie — mówił — co jest cesarskiego“...

— Jeżeli cnota — przerwał Arystodor — jest monetą wytartą, jak nam tu udowodnił Zenos, to cóż poborca ma z nią czynić?

— Zapewne nie siądę z nią do gry... — mruknął Prokull, czyniąc aluzję złośliwą.

— U mnie — oświadczył hałaśliwie Kneion, ujeżdżacz koni — cnota jest nieprzepłacona. Cnotliwy koń, mówię o rzetelnej cnocie, wart żony i kochanki. Wtedy tylko zawahałbym się z tą ceną, gdyby nią miała być nasza Piękna...

— Nudni jesteście — ziewnęła, przeciągając się na swem łożu Zoe. — Czy to bodaj nie ty Tyburcjuszu — wróciła się do siedzącego w milczeniu — zacząłeś tę rozmowę nudną?

— On właśnie — stwierdził Arystodor. — Z umysłu to uczynił, aby odwieść naszą uwagę od ciebie, boska Zoe. Zazdrość tu była pobudką, nie umiłowanie cnoty. Podobnie chłopcom psotliwym, którzy się skupią u furty ogrodu z zamiarem dość przejrzystym, stróż-cerber, zasłaniający niejako sobą wnętrze raju, inne wskazuje zabawy.

Zoe śmiała się głośno.

— Któż go upoważnił do stróżowania?

Tyburcjusz, jakby nie słyszał tych żartów, rzekł poważnie:

— Myślę o Martynianie pustelniku...

— Skądże ta myśl? — spojrzała nań niespokojnie.

— ...I stąd zacząłem o cnocie. Któż jest, ktoby stwierdzał życiem to, co wysławia ustami? On właśnie stwierdza... On też jeden z obywateli tego miasta wydaje mi się cnotliwym.

— Przesadzasz, Tyburcjuszu, przesadzasz! — ozwały się protesty.

— Zaprawdę! — uniósł się, gniewny. — Kto chodzi drogami wskazań, jakie odświętnie wyznawa?... Kto nie jest łakomy mienia, władzy, godności, dostojeństw?... Kto nie szuka przyjemności w tem, co pozornie potępia?... Kto ceni Boga swego (kim On by był) wyżej, niż opinję sąsiedzką?... Kto, gardząc rodzicielką zła, niewiastą, wzgardzi jej ciałem, jeśli jest ponętne?... Kto duszy swej tyle bodaj starania poświęca, co swemu wierzchowcowi?... Zaiste, ani wy, ani ja, ani nikt z tego tu miasta. Jeden chyba Martynian. Nie twierdzę, żeby jego sposób życia miał być przykładem dla nas tu zebranych, albo czemś dalece wyższym od naszego — ale jest jednolitym z jego wiarą i przez to cnotliwym właśnie. To chciałem tylko zaznaczyć.

Usiadł z powrotem, nasępiony.

Grono, zgorszone zrazu jego gwałtownością, widząc pojednawczość słów końcowych, chętnie przyznało słuszność jego wywodowi.

— Najwięcej dziwi mię — ozwał się Chereas — że ów Martynian, który tak za niewiastkami przepadał za młodu, iż zazdrość wzbudzał u rówieśnych swemi zapałami, potrafił tę chuć stłumić i prawie zabić ją w sobie. Co prawda nie odznaczał się on nigdy równością usposobienia i gwałtownym był we wszystkiem, jak rumak pustynny; to tłómaczyćby mogło tę dziwną przemianę.

— Podobno, mówią — wtrącił niedbale Arystodor — na sam widok białogłowy doznaje takiego wstrętu, pomieszanego ze strachem, jak pies na widok jadowitej żmii. Dziw, że nie szczeka.

— Już to pod tym względem, trzeba przyznać — dodał staruszek Zenos — nikt się nie znajdzie, nawet pośród pustelników, ktoby mu dorównać zdołał. Sądzę, że to jest pewne zboczenie...

— Też w tem jest jego świątobliwość — rzekł ze znużeniem w oczach Tyburcjusz — iż naturę ziemską w sobie pokonać zdołał. My z innej jesteśmy gliny. Chropowatość naczynia zewnętrzna, wszak dobrze wiemy o tem, niekoniecznie jest dowodem szorstkości jego wnętrznej; gdy przeciwnie...

— Zdrowie Martyniana! — przerwał gromko z końca stołu ujeżdżacz koni. Był już pijany.

Wtedy to Zoe, która podczas tej rozprawy milczała, jakby rozgniewana, poderwała się nagle z łoża i z naprawy widocznej szatana poczęła mówić urągliwie:

— Co to sławić takiego, który nie mogąc w cielesnych pożądliwościach między ludźmi wytrwać, uciekł w las i tam się jako ten dzik-odludziec chowa; a tak, nigdy urodziwej i gładkiej niewiasty nie widząc, łatwo może wstrzemięźliwością się szczycić. Niechby jeno mnie ujrzał i ze mną pogadał, prędkoby się serce jego jak wosk nad świecą rozpuściło. Toż jeśliby się wtedy oparł, dopierobym sławiła jego stateczność wytrwałą; gdyby się, blisko ognia siedząc, nie poparzył. Ujrzycie, że ja się koń pokuszę, aby wam dać dowód kruchości tego naczynia, o którem to tak przenośnie prawił wysławiacz cnót jego.

— Naprawdę chciałabyś... — pojrzał z niepokojem Tyburcjusz, który znał fantazje pięknej wdowy.

— Właśnie twoim wywodom naprzekór! — zaśmiała się wyzywająco.

— Nie uda ci się...

— Zobaczymy.

— Stawiam zakład: Tysiąc sztuk!! — huknął ujeżdżacz koni.

Towarzystwo się poruszyło.

— Kto trzyma za?

— Ja przeciw!

— Ja na piękność boskiej Zoe pół mienia... Kto się jej oprzeć zdoła ze śmiertelnych?

— Ja dwadzieścia stągwi kypryjskiego, jeżeli...

— Ja cały zapas szat! Wszystko, co mam! — gorączkował się Arystodor. — A ty Tyburcjuszu? Co stawiasz?

— Ja — nic. Już przegrałem.

— Lecz jaki dowód będziemy mieć? — spytał niewierny poborca.

— Tu wam go przywiodę! — odrzekła, śmiejąc się Zoe.

— Jesteś niezwyciężona! — ryczał ujeżdżacz pijany.

— Właściwie — chrząknął staruszek — zdałoby się zastanowić...

Zahuczano go śmiechem. Poczęto pełnić kielichy.

— Niech żyje boska Zoe! — wołano, cisnąc się ku niej.

Tyburcjusz się wysunął.

ROZDZIAŁ IV.

U w a g a. „Często szatan pozorów cnotliwych zażywa, aby tem snadniej zamysły swoje chytre przeprowadzić. O cnocie poczyna się rozmowa — — pilnuj się a bacz dobrze, czyli pod tą pokrywą ułudną, jako żmija pod listowiem wdzięcznem, nie kryje się występek. Nigdy nie dawaj się złudzić pozorami niewinnemi, zwłaszcza, jeśli z białogłową masz do czynienia, jeno bądź uzbrojon na wszelki podstęp zdradziecki i patrz uważnie końca.”

— — — — — — — — — — — —

Pod noc się miało, gdy Zoe, w nędzne odziana szaty, dzierżąc w ręku tłómoczek podróżny, zastukała do chaty pustelnika.

Uchyli Martynian drzwi, zaniepokojon, kto o tak późnej porze się dobywa, lecz, ujrzawszy w pomroczy postać niewieścią, zamknie je z powrotem coprędzej, żegnając się, jakoby ducha złego ujrzał.

Zoe jednak nie dała się tem przyjęciem stropić. Ułożywszy głos swój w żebraczy niejako jęk, kołacze do drzwi dalej i woła, rzekłbyś: ostatkiem sił:

— Zmiłuj się, pustelniku święty, a otwórz. Otom tu, z daleka idąc, na pustyni zamierzchła. Jeśli mię

do wnętrza nie puścisz, zwierz mię okrutny rozdrapa. Nie pomnij na to, żem niewiasta, jeno żem stworzenie Boże i obraz Jego. Przez litość proszę, uchyl drzwi, abym ciało zmarznięte ogrzała. Jeśli się nie ulitujesz, śmierć mię tu przy twym progu najdzie.

Pojrzy Martynian przez szparę i widzi rzeczywiście: oszarpana, zziębnięta biedota. Co tu czynić? Jeszcze się waży w postanowieniu swem.

— Jej idzie — myśli w sercu — o cielesną, a mnie o duszną śmierć. Boję się, abym skuszony nie był, a nie upadł.

Lecz na miłosierdzie Boże zawołany, nie mógł odmówić. Poruczywszy więc łasce Boga kruchość natury swojej, a mówiąc psalm: „W Tobie nadzieję Panie mam, niech pohańbiony nie będę,“ otworzył jej...

— Oto masz — powiada — ogień, osusz się i wypocznij; a jutro, skoro zadnieje, udaj się w drogę swoją.

I dawszy jej daktyli, a przyłożywszy drew na ogień, zamknął się w komórce bocznej, by modlitwy swoje odprawować.

— — — — — — — — — — — —

Długo klęczał Martynian obok łoża swego — już też w izdebce pierwszej uciszyło się zupełnie: niewiastę widać znużoną sen ujął — a modlitwa nie przychodziła. Nadaremnie najżarliwsze przytaczał psalmy i wołania; słowa zdały się jak puste łupiny, albowiem myśl i serce nie brały w nich udziału.

Szatan widać niepostrzeżenie wśliznął się był za nim do komórki i uwodził zdradziecko jego zmysły.

Zrozpaczony pustelnik bił czołem o krawędź łoża i do krwi wbijał paznokcie w swe ciało, aby się do gorliwości pobożnej przymusić — lecz nic to nie pomagało. Gdy się mu widziało, że już wszedł na ścieżkę dobrą i jął skwapliwie postępować za zbawiennemi słowami modlitwy, przerywał mu nagle szept kuszący:

— Tam niewiasta spi...

— Idź precz! — odganiał z oburzeniem kusiciela. — Pan jest pomocą moją. Nie złamiesz mię.

I nanowo poczynał trud daremnego zniewalania myśli do pobożnego skupienia. Odmawiał „akty strzeliste“, które święci pustelnicy zalecali jako jedyną broń skuteczną wobec bliskości wroga.

A gdy i te nie zdołały serca jego, statecznie w oziębłości ostającego, rozżarzyć, jął nawodzić słowa modlitw, jakie tylko pamięć jego znała, w ufaniu, że wytrwałość jego zniewoli wreszcie łaskę Bożą do przyjścia mu z pomocą.

Szatan ziewał ukradkiem i, pozierając nań z pobłażliwością niejako, czekał cierpliwie sposobności.

Skoro widział, że święty już się zadosyć utrudził i że znużenie jego jest jakby uchyloną dla pokuszeń furtą, tedy przystępował doń ze szeptem:

— Tam niewiasta spi...

I tak trwała ta cicha walka chwil niemało. Aże Martynian, do najwyższej niecierpliwości przywie-

dziony, postanowił zażyć chytrze, ryzykownego coprawda, fortelu. Postanowił myślom swym, nawracającym wciąż za poduszczeniem szatana ku śpiącej, dać powierzchownie folgę; niech czart mniema, że uległ pokusie i że przedstawianie przed oczy wdzięki niewiasty go ujęły. A on w rzeczy będzie patrzał na jej obraz jako na podłe naczynie szatana, i gdy już myśli jego do syta wstrętu z tego widoku nabiorą, łatwo mu wtedy przyjdzie ku Bogu je skierować. A tak szatan w swych własnych, a na niego nastawionych sidłach zostanie pohańbiony.

Począł więc z pozorną lubością przypatrywać się w myśli obrazowi uśpionej... Widział jej twarz przybladłą na zagłówku bujnych włosów — usta rozchylone, jak owoc słodki, kuszący — linje szyi białej, niknące za osłoną...

Szatan, zwiedziony pozorem, skwapliwie odsłaniał mu jej postać. Odkrywał wzgórza piersi, na których wszystkie wabne usiadły pokusy; wdzięczne doliny łona, łuki bioder, niby konchy bezcennej otocza; wreszcie ukazał mu ją w całej nagości rozkosznej.

Martynian pomyślał, że czas mu już ujść. Tedy poczuł zbudzone w ciele srogie żądze. Nie myśląc zgoła, co czyni, wstał, słaniając się, ze ziemi i cichaczem zbliżył się ku drzwiom. Już dłoń kładł na zaworze, by ją odsunąć, gdy myśl, że otwieranie uczyni łoskot, opamiętała go. Zawstydzony swym

postępkiem i wielce zmartwiony, cofnął się wartko w kąt komórki.

Szatan nie posiadał się z uciechy, widząc świętego klęskę. Ledwo wstrzymując śmiech głośny, począł błaznować okrutnie, mimiczne stroić figury, wykrzywiać przed nim swój wstrętny pysk — tak, że Martynian, nie mogąc już tego ścierpieć, zamachnął się i wymierzył mu mocny policzek... Niestety, szatan wczas uskoczył i dłoń spadła na jego własne oblicze. Głośne echo rozległo się po chacie. Martynianowi strwożonemu wydało się, że słyszy dolatujący z izdebki obok tłumiony śmiech niewieści.

— Jakiż z ciebie głupiec — szydził szatan. — Ten policzek słusznie ci się patrzył. Nie stoję już o twoją małowartą duszę. Czyń, co chcesz: uchem nie ruszę. — I odsunął się w kąt przeciwny.

Martynian popadł w zwątpienie. Pomyślał też z wyrzutem, że mimo jego długiej wytrwałości w walce, łaska Boża opuściła go, pozostawiając go samego wobec podstępności wroga. — Znużony, opadł w kącie na podłogę i trwał tak w znieruchomieniu chwil wiele, aż go sen litosny zmorzył.

Tedy szatan, mając już doń niejako prawo, przystąpił i począł go dręczyć, tak, iż przez całą resztę nocy bolesne jego jęki i wzdychania wydobywały się z komórki nazewnątrz.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy Martynian obudził się rano, pierwszą jego myślą było, natchnioną we śnie przez szatana, wyjrzeć do izby, czy niewiasta owa nie odeszła. Spiesznie więc zerwał się z ziemi i odsunął zaporę.

Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy zamiast spodziewanej postaci, którą od wczora wieczora miał w oczach, ujrzał przed sobą strojną białogłowę, o uczesaniu wdzięcznem i bogatych szatach, uśmiechającą się do niego zalotnie.

Nierychło wyszedłszy z osłupienia, spyta on z przesadną groźbą:

— Ktoś jest i co to za ubiór szatański na tobie?

A ona słowy potulnemi:

— Jam ci jest ta, co wczora przyszła. Jestem z Cezarei miasta.

— Wczoraj byłaś biedaczką, a dziś widzę bogactwo na tobie?

— Z umysłu — odpowie Zoe z otwartością miłą — użyłam podstępu niewinnego, aby się do ciebie dostać, bom słyszała, że nie chcesz białogłów do swej chatki wpuszczać. A nasłychawszy wiele o twojej młodości i tej dziwnej urodzie, którą teraz oglądam, zapragnęłam cię widzieć, abym się ciebie napatrzyła. Przebacz mi ten niewinny podstęp i nie bądź taki opryskliwy. Uważ, jak trudną drogę odbyłam...

Martynian, zaskoczony, stropił się niepomiernie tem jej wyznaniem, i nie wiedział, co ma rzec na to.

Nie chciał jednak słabości po sobie pokazać i nie rozchmurzał oblicza.

A jej szatan suflerował dalej, iż mówiła:

— Dziwuję się, poco te posty wasze i taki żywot nieludzki? Gdzie to się w Piśmie znajduje, żeby człowiek nie miał jeść i pić, i pojąć żony ku sobie, jeśli jej pożąda? A któryż to z proroków świętych żony nie miał? Wszak Abraham, Izaak, Jakób, Dawid, wszak i Enoch ów dziwny, który żywo wniesion jest do raju, żony mieli i dziatki z nich, a w jakiej łasce byli Bożej?... Daj Boże nam taką łaskę, cóż więcej możemy pragnąć?

Gdy tak mówiła i innych jeszcze kuszących słów wiele, Martynian patrzał na nią i widział, że jest piękna. To go więcej przekonywało, niż słowa jej, którym nie znajdował już odporu. Miękczyło się serce jego, istnie jako ten wosk w pobliżu ognia, i mdlały jego lepsze myśli, sukursem niewspomagane.

Co widząc, szatan, jął nastawać ogniściej. Mówiła Zoe z pozorem wdzięcznej wstydliwości:

— Słyszałam, jakeś się męczył tam w komórce. Czemuś nie przyszedł, byłabym cię radośnie przyjęła.

Martynian, pokonany, jeszcze próbował oporu; ale już z innych pobudek.

— Jeślibym cię za żonę wziął, skądbym ciebie i siebie wyżywił? Majątek przefujarzyłem — mówił z umysłu tak, aby się lepiej przedstawić — nie mam nic, jako widzisz, krom tej chaty mizernej; i to nie

moja własność; odszedłszy na czas jakiś, mogę zastać za powrotem innego posiadacza.

— Niepotrzebnie się tem martwisz — odrzecze Zoe. — Ja mam majętności dosyć, dom wspaniały i sługi; wszystko to podzielę z tobą, jedno mi przyzwól, bom jest zaprawdę, jak błyskawicą, twoją urodą olśniona.

To rzekłszy, przechyliła piękną swą głowę niewolnie, niby ten kwiat o skwarnem południu, a Martynian, który zdawna nie miał spraw z niewiastą, przez co nie odczuł zgoła fałszu w jej słowach przesadnych, zapłonął cały jako krzew zajęty ogniem i już nachylał się był ku jej woli — gdy go jeszcze wstrzymała ostrożność.

— Poczekaj — szepnął w dygocie namiętnym. — Wynijdę zobaczyć, jeśli kto nie idzie do mnie po błogosławieństwo; aby nas nie naszedł. Jeżeli już przed Panem zataić się nie możemy, to choć ciekawości ludzkiej się uchrońmy.

Wyszedłszy z chaty, pobiegł Martynian ku wysokiej skale, która opodal wyrastała. Wdrapał się na jej szczyt i stamtąd rozejrzał się wokoło. — Nikogo nie uświadczył okiem. A mógł był dostrzec człowieka o milę, bo widok ze skały tej roztaczał się daleki.

Miał już zejść z powrotem, kiedy usłyszy głos przenikający:

— Dokądże to, Martynianie, tak spieszysz?

Zatrzymał się, a głos dalej przenikał jego serce:

— Codzień, pomnisz, o tym czasie, gdy słońce wstawało, biegłeś tu śpiewać psalmy i chwalić podniesionym duchem wszechmoc Bożą. Sam twierdziłeś, iż niema nad to wyższej szczęśliwości. I jakież to szczęście wyższe znalazłeś teraz, iż chcesz odejść? Patrz — słońce wschodzi...

Pojrzy Martynian za wskazaniem — i widzi źrenice świetlne, utkwione w jego oczach, wszystkowiedne, do dna duszę przenikające...

Tedy pojął, przelękły, że wzrok ten jak i głos słyszany przedtem — jest Pana samego.

Upadł na skałę i począł kajać się w skruszeniu przed obliczem Pańskiem, wyznając grzech przyzwolenia. A zarazem gęstemi łzami wdzięczności dziękował za łaskę pomocy znajdującemu się już w przedsionku piekła. Poczem, rozgorzały ogniem świętym, uniósł pięść w stronę chaty:

— Poczekaj, czarcie podstępny! — zawołał. — Znajdę ja na ciebie działo, którem ci głowę zetrę. Twoim cię mieczem bić będę i twoje kule na cię zwrócę.

Zszedłszy ze skały onej, zboczył w las, nazbierał chrustu suchego i zaniósł go do chaty. A tak pokilkakrotnie wracał i zanosił.

Pytała go Zoe, w oczekiwaniu niecierpliwem oczyma za nim wodząca: coby miał czynić, czy śniadanie zamyśla gotować? Lecz nie odrzekł jej nic, czynił swoje, jakoby jej nie widział.

A nałożywszy stos niemały, naniecił ogień wielki i począł wobec zdumiałej niewiasty skakać weń i parzyć nogi okrutnie. Przyczem wołał:

— Cóż ci to, Martynianie? Gorąco ci, ha? A takeś pragnął tego ognia. Spróbujże, spróbuj! Jeżeli tego wytrzymać nie możesz, jakże piekielny ogień wytrwasz? Nuże, Martynianie opieszały, skacz dalej w ten żar! jeszcze! jeszcze!

I skakał dalej zawzięcie, aż tak opalił stopy, iż mu się rany na nich poczyniły; nie mogąc kroku postąpić na nogach, padł w boleściach na ziemię.

Zoe, patrząc na ten jego zapał, zrazu zdumiona, potem zła, wybuchła wreszcie śmiechem hałaśliwym i wybiegła z pustelni.

Gdy ją później w Cezarei pytali przyjaciele z ciekawością, jak się sprawa z Martynianem skończyła, odpowiadała ze śmiechem:

— Ach! smutno. Z miłości dla mnie oszalał.

ROZDZIAŁ V.

Przez siedem miesięcy całych chorzał Martynianus na nogi. Przez ten czas szatan nie napastował go wcale; krążył tylko, jak pies czujny, dokoła chaty pustelnika, węsząc za sposobnością.

Zleczony wreszcie widocznem miłosierdziem Bożem, gdyż żadnej trawy do ran nie przykładał, począł Martynian rozważać w nieufnem sercu:

— Jeżeli tu pozostanę, nigdy nie będę mógł być dosyć ubezpieczon. Tu, jak na trakcie, ludzie się przeróżni snują i łacno szatan może mię znów podejść, zmyliwszy jakim podstępem mą czujność. Trzeba mi szukać miejsca tak niedostępnego, gdzieby białogłowa nijakim trudem dojść nie mogła.

W tem zamierzeniu udał się do Pana swego, wołając:

— Panie, który zguby grzesznika nie rad widzisz, ukaż mi kąt bezpieczny, abym nie zginął. Ty znasz słabość moją, wiesz, jaką zdradą jest mi białogłowa, przeto ukaż mi twierdzę niedostępną, gdziebym Cię mógł w bezpieczności chwalić.

Gdy tak wołał o natchnienie, modląc się naprzemian, zdało mu się, że usłyszał głos, dobiegły z dali:

— Idź ku morzu...

Nie zwlekając, pozbierał, co miał w ubóstwie swem, wziął tłómoczek na ramię i udał się za wskazaniem Bożem.

Kiedy szedł przez pustynię, szatan, który przeznał już zamiar świętego, uskakując z przed oczu jego poza skały, wołał:

— Ha! ha! Widzisz, iż moja wygrana. Wygnałem cię z pustelni, wygnałem! wygnałem!

— Tyś mię, skucino, wygnał? — odpowie święty urągliwie. — Idę, bo mi się tak podoba. Za Pana mego natchnieniem, nie za twojem.

— A dokąd-że to idziesz? — chytrze zapytał.

— Nie twoja rzecz — odrzekł Martynian. — Patrz swego kopyta.

— Najdę ja cię i tam, dokąd zmierzasz, — pogroził szatan — i wypędzę cię stamtąd, jak i tustąd. I nie spocznę, obaczysz, aż twoją hardość skrócę.

A święty na to:

— Nędzniku, cóż-to twoja moc? Puszysz się, jakbyś nie wiem co zwojował. Na pierwszej i wtórej wojnie ze mną coś wygrał? Musiałeś w pohańbieniu, ogon pod się wtuliwszy, umykać. Przyjdź jeszcze trzeci raz, psie oblazły, a dam ci się we znaki.

I zanuciwszy tryumfalny psalm: „Niech powstanie Pan, a rozproszą się nieprzyjaciele Jego“, szedł drogą swoją.

Uciążliwą miał pielgrzymkę, bowiem omijając siedziby ludzkie, szedł pustynnemi górami, gdzie ostry kamień ranił jego stopy, a krzew ciernisty rozdzierał mu odzienie. — Nic jednak na to nie dbał, owszem radośnie przyjmował trud wszelki, bowiem Pan włożył mu nadzieję w serce. — Głód zaspokajał korzonkami roślinnemi, pragnienie gasił ssaniem wilgotnych łodyg i dążył naprzód, mało spoczywając, za tajemną przynuką.

Aż nad wieczorem dnia któregoś stanął nad morzem. Tu napotkał rybaka, którego imieniem Bożem pozdrowiwszy, spytał:

— Czy nie wiesz o jakiej wyspie, na którejby nikt nie mieszkał?... Chciałbym gdzieś umknąć przed próżnością świata, lecz miejsca takiego nie znam.

— Jest — mówi rybak — skała jedna, ale prawie niedostępna; i dość daleko od lądu, bo już brzegów z niej nie dojrzy.

— Takiej mi właśnie trza — rzecze z powagą święty — gdzieby białogłowa dojść nie mogła.

— Ho, tam już co do tego — uśmiechnie się rybak — możesz być pewny, że cię nijaka nie najdzie. Chyba syrena morska. Ale czemże ty tam żyć będziesz? — zapytał.

— Uczyńmy ze sobą zmowę taką... — odpowie z namysłem święty. — Ty mię będziesz tam żywić, a ja będę za ciebie prosić Pana Boga.

— Hm... — zastanowi się rybak — to wcale zmowa rozsądna. I ja z ochotą przystaję. Jeno przestawimy tak: Ja za ciebie będę prosił Boga, a ty mię będziesz żywił. Cóż ty na to?

Zmartwił się Martynian, bo nie wiedział, co ma odrzec na to. I zatrwożył się niemało na myśl, że może z tego powodu skały tej zbawczej nie osiągnąć.

— Może umiesz co robić? — spytał rybak, poruszony jego zasmuceniem.

Martynian się namyślał, coby mógł umieć.

— Dasz radę koszyki pleść?

— Ufam pomocy Bożej, że podołam — odrzekł Martynian spiesznie.

— No, więc taka zmowa między nami stanie: Ja ci będę dostarczał na skałę sitowia i pożywienia, a ty będziesz koszyki plótł. Przytem możesz chwalić Pana Boga, ile zechcesz. Nikt ci tam z ludzi zawadzać nie będzie. A teraz chodź ze mną do chaty, boś pewnie zgłodzony z drogi. Pożywisz się i wypoczniesz. Pouczę cię też, jak masz robotę swoją wykonywać. Rzecz łatwa przy dobrej chęci.

I poszli razem w stronę rybackich chat.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz rano odwiózł rybak pustelnika na ową morską wysepkę. Pozostawił mu sitowia, żywności na tydzień i oddalił się.

Pierwszą czynnością Martyniana było uklęknąć i podziękować Bogu, iż go tu tak cudownie doprowadził.

Poczem rozpoczął przeglądanie miejsca, na którem miał odtąd w bezpieczności żywot swój spędzać.

Była to naga skała, wyniesiona nad powierzchnię morza, o wielkich bardzo nierównościach grzbietu i pobrzeżnych załomach. Otaczały ją dookoła wody szerokie, iż przedstawiała się w istocie jak twierdza niedostępna.

Rozradowało się w Martynianie serce na widok tej obronności wielkiej, i począł śpiewać psalm głośny:

„Na kastelu wysokim posadził mię Pan,
Skałą umocnił twierdzę moją,
Wodą szeroką ją otoczył,
Aby wróg nie miał dostępu...“ itd.

Odtąd wiele psalmów sam ułożył, które mu radość serca poddawała.

Śpiewał: do zachodów ognistych, do wschodów słońca promiennych, do dalekości morza, do gwiazd nocnych... A we wszystkiem tem wielbił wszechmoc Pana.

Gdy się utrudził modlitwą lub znużonym się uczuł pracą nad koszykiem, tedy wychodził na najwyższy cypel, kładł się na wznak na skale i trwał tak godzin wiele w spoczynku. Widział się jakby śród powietrza zawieszonym, śród błękitu wód i nieba, które się ze sobą spotykały nieznacznem jeno pasemkiem.

Nic samotności jego tu nie przerywało, nawet żagiel daleki, gdyż łodzie rybackie z powodu ław skalistych, ciągnących się od onej wysepki, omijały zdaleka tę część morza. — Jedynie żywiciel jego, znający przechody wodne pomiędzy zdradnemi skały, ukazywał się co tydzień na swej lekkiej łodzi. Przywoził żywność i pęki sitowia, a zabierał koszyki wyplecione. Zadowolony z pracy pustelnika, wyraził jednego czasu chęć przywiezienia desek i zbudowania świętemu chałupki. Lecz Martynian odmówił, twierdząc, że mu tak jest dobrze i że niczego więcej nie pożąda.

Błogi istnie wiódł żywot. Nie mając pokus ni wyrzutów, innych cierpień nie doznawał zgoła. Pan był nad jego głową.

Przebył w takiej spokojności lat kilka na onej skale.

Lecz nic na ziemi pewnego. — Zwiedział się szatan nareszcie o tej jego nowotnej pustelni i, tembardziej rozwścieklony, iż go tak spokojnym znalazł, począł srogą na nim złość wywierać. — To mu chleb do morza stoczył, niedawno przywieziony, iż święty musiał pięć dni pościć, nic zgoła nie jedząc. To znów, gdy na brzeg zeszedł, aby zaczerpnąć wody dłonią, poderwał mu znagła stopę, iż mało jeno że nie wpadł do morza. To skałę nad nim oberwał, chcąc go zgładzić; Bóg strzegł tylko, że go ominęła. Cuda broił i zdziwiał.

Znosił to wszystko Martynian cierpliwie i nic się doń nie odzywał, jakoby tych psot nie widział.

Wściekało to szatana jeszcze więcej. Więc razu jednego, nocą, właśnie gdy Martynian ułożył się spać, poburzył morze tak straszliwie, iż fale wielkie zrywały się ze dna i podskakiwały z hukiem strasznym wysoko nad jego głowę.

— Już cię muszę zatopić! — ryczał szatan.

Wtedy Martynian zawoła:

— Nędzniku! Ja się twoich strachów czarcich bynajmniej nie lękam. Mam ja ufanie w Panu moim, że cię do końca pokonam.

I począł wśród huczących żywiołów śpiewać psalm:

„Zbaw mię Panie, bo przyszły wody wielkie na duszę moją. Uwiązłem w błotnej bezdeni, przyszedłem na głębokość morską...“

A ukończywszy psalm ony, jął się modlić do Pana:

— Panie, wysłuchaj mię, a pohańbij nieprzyjaciela mego...

I wnet wszystko ucichło, a szatan z hańbą zniknął.

Miał Martynian przez jakiś czas spokój od jego napastowań. Już myślał w zaufaniu, że się go pozbył na dobre. A on zdrajca tymczasem coś lepszego obmyśliwał.

Jednego dnia, cale spokojnego, płynął z dalekich stron okręt, na którym wiele białogłów się znajdowało. Gdy ów okręt, zmyliwszy szlak, przepływał właśnie opodal wysepki — co szatan nie przedsięwziął w złości...

Uczynił nagły wicher i rozbił okręt o skałę podwodną, tak, iż wszystkie one białogłowy wraz z załogą okrętu potonęły, a tylko jedna, najpiękniejsza, deski się uchwyciwszy, gnana wiatrem pomyślnym, płynęła prosto do brzegu, na którym stał Martynian...

Widzi on tedy jakoby ową syrenę, wynikłą z morskiej głębiny, cale rozkoszną i piersiami różanemi ponad pianę wodną wyniesioną...

Dumał uciekać, kiedy właśnie ona, dopłynąwszy do brzegu i czepiając się słabemi rękoma skały, przejmującym głosem zawoła:

— Nie daj mi zginąć, dobry mężu, poratuj, podaj rękę, bo jużem bardzo zemdlała.

Widząc to święty, że ona inaczej śmierci pewnej nie ujdzie, jedno za jego pomocą, uśmiechnie się z wyższością:

— Twoje to sidła, szatanie, jednak pociechy ze mnie mieć nie będziesz.

I rozmyśla w swem sercu:

— We większej ta jest potrzebie, niźli ona pierwsza niewiasta na ziemi. Jeżeli ją opuszczę — upadnie. Ale tak — upadnie ona sama. A jeżeli ją przyjmę — upadniemy oboje. I cóż upadek ciała znaczy wobec upadku dusz?

I miał się już oddalić, lecz wołania jej słysząc powtórne, a iż na miłosierdzie woła, zadrżał w sercu.

— Jeżeli ją opuszczę, Bóg mię na sądzie swoim karać będzie.

I poruczywszy się Panu słowami: „Tyś mnie sprawował od młodości mojej; nie daj mi teraz upaść, a zachowaj mię dla chwały swojej“ — podał jej rękę i wyciągnął ją na skałę bezpieczną. A widząc, że jest bardzo piękna i młoda, rzecze jej:

— Słoma z ogniem trudno się ma zgodzić. Być tu oboje nie możemy, bo czart mię sidlić żąda. Ale dalibóg nie wygra. Zostań tu córko, nic się nie bój — tam masz pożywienie swoje. Za tydzień przypłynie tu rybak.

I, przeżegnawszy się, rzekł do Pana:

— Panie, tobie i morze służy. Jeśli chcesz, to

mnie wybawisz. A jeśli zginę, to wolę umrzeć cieleśnie, niżeli zgrzeszyć przed Tobą.

To mówiąc, wskoczył do morza. A „delfinowie, dwie ryby morskie, z rozkazania i zrządzenia Boga wzięły go na grzbiety swoje i do lądu bezpiecznie zaniosły“.

— — — — — — — — — — — —

Jakież było zdumienie rybaka, gdy, o swoim czasie dobiwszy do wysepki, zastał tu miast pustelnika — białogłowę. Mniemał, że to jakieś czary. Dopiero, gdy ta opowiedziała, co się stało, ochłonął ze zdziwienia. — Nie mógł jeno pojąć, jako że był zbyt prosty człek, tej cudownej nawigacji świętego.

Wioząc już oną panienkę do brzegu, jeszcze powtarzał w wątpieniu:

— Nijak mi się to nie zdaje... Chociaż moc świętych jest rzeczą powszechnie znaną.

ROZDZIAŁ VII.

Kiedy Martynian święty na lądzie postawił stopę, przeżegnał naprzód one usłużne delfiny — i te się, jako psy chowane, potulnie oddaliły.

A potem upadł na ziemię i słowami gorącemi dziękował Panu swemu za tak przedziwny dowód łaski.

A kiedy skończył dziękczynienie, począł się zastanawiać w sercu, co ma dalej ze sobą uczynić.

— Skoro już — myślał — na onej wysepce nie mogłem przetrwać bezpiecznie, to niema kąta na ziemi, gdzieby mię czart złośliwy z napaściami swojemi nie naszedł.

Gdy tak długo rozmyślał nad sobą, a nie mógł nijak dojść porady, gdzie się ma udać, wspomniał sobie na one słowa Ewangelji św.:

„Gdy was w jednem mieście prześladować będą, uciekajcie do drugiego; a zaprawdę, powiadam wam, nie skończycie miast izraelskich...“

Tedy odrazu zrozumiał, że to słowa natchnione przez Pana.

Czemprędzej zebrał się z ziemi, i męstwo napłynęło w niego.

— Poczekaj, czarcie! — pogroził. — Kiedyś mię ty z mojej pustelni wywłaszczył, to ja ci niespodziankę

sprawię. W twoją własną jamę wkroczę i tam z tobą walkę toczyć będę.

To wyrzekłszy, skierował kroki swe ku miastu.

— — — — — — — — — — — —

Przekonał się Martynian wkrótce, iż zawiele sobie był zaufał. To też, pomny słów Pisma, w żadnem mieście długo nie pobawiał. A tak uciekając wciąż — z miasta do miasta — w niespełna półtora roku sto sześćdziesiąt siedem miast ubieżał. — w onem ostatniem znaleziono go bez ducha. — Niewiasta jakaś ~~cnotliwa~~, rozeznając męża bożego po szacie, zajęła się pochowaniem jego zwłoku.

Obrok duchowny. „Lepiej od powabu grzechów uciekać, niżli męstwa w niebezpieczeństwie doświadczać. Zwłaszcza od tego cielesnego grzechu, z którym tak trudno jest walczyć. — A iż ten wolał do morza się rzucić, niżli z niewiastą oną zostać, nie dziwuj się temu. Jako bowiem kto z wojska ucieka, żadnej się śmierci nie bojąc, jeno tej, której się naprzód przeląkł — tak też, kto się potępienia zlęknie, już mu żadna śmierć insza straszną nie jest.“

„Rozmaite są dary Boże. Jedni z żonami własnemi mieszkając, czystość zachowali — a ów święty tak przed niewiastami stronił, bo czuł, że tego daru nie miał, co zaś tamci. — Jednemu Bóg dał to, drugiemu owo. Wszakże najczęściej zamieniają się ludzie z sobą przy tych darach — i nikt przeto nie jest na swojem miejscu.“

Wesele Prometeusza.

Wśród niewielkiej cząstki ludzkości, która zna imię Prometeusza i wie, kim on był za młodu, powszechnem prawie jest mniemanie, iż ten wykradacz ognia niebieskiego przykutym był z woli bogów do skał na Kaukazie.

Nikt jednak dowodu na to nie przytoczył. Nikt też nie widział onej skały, do której był rzekomo przykuty, ani nawet ogniwa z łańcucha, krępującego jego boskie członki. Rzecz się sprowadza, jak każde podanie, tradycją poparte jeno, do wątpienia: Mógł być przykuty tam, albo też gdzieindziej.

Wiele zaś przemawia za tem, iż Prometeusz przykutym był w Tatrach — do Gewontu.

Tu bowiem wszystko się działo. Z Tatr Pan Bóg na świat swój patrzał zaraz po stworzeniu i cudował się sam sobie, że go tak pięknie uzdajał -- tu stworzył naszych rodziców, Adama i Ewę — tu był ów Raj, o którym do dziś tyle gadek chodzi — tu się Paniezus urodził, naski i żydowski... Tak prawił stary Sabała, gazda świadomy rzeczy, wiarogodny.

A i z bogami coś Grecy pocyganili — wiadomo, handlerski naród. Bo gdy na Olimp Spółka berlińska wnet tramwaj wyprowadzi, iżby cały świat mógł widzieć dowodnie, że tam pustka — tu w Tatrach, wiemy, są siedliska bogów niedostępne dla najbardziej zwarjowanych turystów. Tu też podziśdzień boginki się plączą: — stary kościelny (już nieboszczyk) mógłby był przysiądz, iż widział ją na własne oczy, jak prała chusty w potoku, piersi zarzuciwszy sobie na ramiona... No, nie dziwota — postarzeć musiały się setnie — tyle wieków...

I wreszcie fakt znamienny. Któryś z raubszyców, Krzeptowski czy Gąsienica, zastrzelił nad Krzywaniem sępa... Wiadomo, w Tatrach sępów niema. Mógł być tylko jeden, który wyjadał serce Prometeuszowi. — I ów sęp, wypchany, znajduje się dziś w Muzeum tatrzańskiem, co każdy może na swoje oczy sprawdzić.

A jeśli te dowody jeszcze niewystarczające, niechże je poprze poniższa opowieść, której prawdziwości nikt chyba z ludzi, cokolwiek znających się na prometeizmie, nie zdoła letko zaprzeczyć.

I.

Pewnego odwieczora szła doliną Strążyską panna Irys z Warszawy...

Imię to sama sobie nadała z uwielbienia dla poezji, w której podówczas panowały irysy, orchideje, nenufary i inne kwiaty z wyspy Ceylon. Papa jej wprawdzie, jako kupiec, tylko kawę stamtąd sprowadzał, lecz panna Irys wykwitła, można rzec, ponad prozę życia i do poezji egzotycznej czuła wielki pociąg. Czuła też pociąg do poetów. Lecz „prawdziwego“ poety, o jakim marzyła, dotąd niestety nie spotkała w życiu. Więc melancholją cała była przesiąknięta i mówiła smętnie, że umrze na suchoty. A że znów papa tem się gryzł i żółkniał, jeździła co rok do Zakopanego.

Zatem pewnego odwieczora szła doliną Strążysk i myślątkami smętnemi bawiła się, jak paciorkami różańca. Szła w głąb doliny bez zamierzonego celu i zwolna zbliżała się ku Gewontowi.

Z obu stron drogi wydźwigiwały się z czarnej omroczy smreków potworne skalne postacie. Stały w ruchach zakrzepłych groźne, wyniosłe, zasępione.

Słońce, zapadające za wierchy, rdzawiło je odblaskiem, rzeźbiąc wyraziście ich martwe, zastygłe rysy.

Nie widziała tego wszystkiego panna Irys, paciorkami myśli swych zajęta. Choć owszem lubiła góry: jako piękną dekorację do swej melancholijnej postaci. I lubiła też sama zapuszczać się w doliny znajome; czuła się tam jakoby na scenie wobec niewidzialnej widowni. Zżyła się tak już z rolą swoją, że i myśli układała odpowiednio do oczu, twarzy i całej swej irysowej łodygi.

Idąc, myślała o tem, jakie to życie jest nudne — jacy to ludzie niewdzięczni — jaki to ten pan, co w pensjonie przy stole naprzeciw siada, jest zarozumiały — jak w tem Zakopanem pusto — jak jej w tym kapeluszu musi być do twarzy — i jaka szkoda, że nikt jej teraz, tak nieszczęśliwej, nie widzi.

Zbliżała się właśnie do ściany Gewontu. Podniosła oczy wilgotne... i z gardziołka jej wyrwało się ździwienia, zachwytu pełne:

— Ach!

I ciszej już, radośnie rzekła:

— Prometeusz!

A Prometusz, który właśnie ziewał, przyciął nagle zęby i stropił się niepomiernie.

— Ależ... pan przykuty! — zawołała z prawdziwem współczuciem.

— Nie... ja... właściwie... — jąkał Prometeusz. — To jest... łańcuchy rdza przegryzła...

— Więc pan związany? Biedny... Ja pana uwolnię! — rzekła rezolutnie i szybko, nim Prometeusz się opatrzył, poczęła rozplątywać więzy. Powrozy były od deszczów stwardniałe, więc ząbkami sobie pomagała i mówiła przytem w podnieceniu:

— Ale to pan musiał cierpieć strasznie!... I nikogo pan nie miał... Tak sam... w tej pustce...

— Miałem... sępa — szepnął oszołomiony Prometeusz.

— I to jeszcze do tego! Ach!...

Podjęła rękę jego z więzów uwolnioną i szybko pocałowała.

Prometeusz wyrwał dłoń, strwożony.

— Niech pan nie broni... To nie dla pana, tylko dla jego bólu... — mówiła z przejęciem szczerem.

Resztę więzów Prometeusz, zawstydzony jej dobrocią, sam wolną ręką pomógł już rozplątać i wkrótce stanął, uwolniony. Ukłonił się niezgrabnie w podzięce — i poszli razem na dół doliną Strążyską.

Panna Irys teraz z ciekawością rzucała nieznaczne, szparkowe wejrzenia na postępującego obok niej Prometeusza. Zauważyła, że rysy ma ładne, jeno schudł nieborak strasznie. Przytem ten ubiór niemodny... Ale to się da naprawić — pomyślała w duchu. — Zresztą wcale... wcale...

— Czemu pan taki milczący?

— Ja? — wyjąknął, strwożony. — Myślę, jaka pani dobra...

Panna Irys zarumieniła się zlekka, zadowolona.

— Oh, nie mówmy o tem, proszę... Niech mi pan wierzy, że dla każdego uczyniłabym tosamo. Nie mogę patrzeć na cierpienia...

— Kiedy ja... właściwie... — jąkał Prometeusz i w myśli dokończył, rozumiejąc, iż głośno wyrzekł. W samotności długiej nie odróżniał już myśli od mowy.

I dalej postępowali w milczeniu.

Panna Irys wysilała swój umysł, iżby powiedzieć coś bardzo głębokiego, coby Prometeusza zachwyciło, ale napróżno mozoliła główkę — nic nie mogła umyślić. To ją zaś niepokoiło, a wreszcie i gniewało, iż on szedł obok niej, a zdawał się czem inszem mieć głowę zajętą.

— Spocznijmy chwilkę — rzekła, siadając na jednym z głazów, które walały się w piargu koło drogi.

Prometeusz posłusznie usiadł obok.

— Jak tu pięknie! — szepnęła po chwili, zatopiona, zda się, cała w zachwytnem zamyśleniu.

— Tak — odszepnął grzecznie Prometeusz.

— Ach, jak ja kocham piękno! — mówiła głosem melodyjnym. — Nic poza tem na świecie mię nie zajmuje. A zwłaszcza góry... Ach, wiecznie chciałabym tu mieszkać!

Spojrzała przymglonym wzrokiem na Prometeusza i zauważyła w jego oczach zdziwienie wdzięczne i zachwyt. Więc tembardziej zatopiła się w zadumie i, jakby przez sen zachwytny, mówiła:

— Co za rozkosz tak bujać, jak orły ponad wierchami... z daleka od gwaru ziemskiego, od ludzi... i żyć tylko wśród piękna, które nas otacza...

Przez mgłę dojrzała w oczach jego już tylko zachwyt szczery. Tłumiąc zadowolenie serca, spytała tęskno:

— Pan tam, mimo tych cierpień, musiał być szczęśliwy...

I popatrzała mu w oczy.

— Tak... czasem — odrzekł spłoniony Prometeusz. — To jest... śniłem o szczęściu...

— Tak patrzeć z wysokości na cały świat... na ludzi...

— Właściwie, to...

Namyślał się, niezwykniony do słów, jak uprzystępnić swoje skromne wnętrze przed tą piękną, poetyczną duszą.

— Właściwie wszystko, co... myślałem, odnosiło się do ludzi... Nie mogłem o nich zapomnieć, mimo... sępa. A może właśnie... przez niego. Przyznam się pani... chciałem się przemóc, zdusić ten ogień święty... Lecz ogień nieśmiertelny. Sam dłońmi swemi wyniosłem go z Olimpu...

— Ach! słyszałam — rzekła z podziwem panna Irys. — Wiele o panu pisali... I przyznam się panu szczerze, że czasem te pochwały zdawały się mi przesadne. Ale jak pana poznałam...

— Cóż ja... zaprawdę nie zasłużyłem — jąkał, wzruszony. Po chwili jął się znów spowiadać. — A drugą myślą, która mię nie opuszczała, to sęp... Z początku złorzeczyłem bogom i myślałem o nim ze strachem... później z goryczą... a potem z pewną sympatją... a nawet, przyznam się, tęskniłem za nim...

— Ach, ja pana rozumiem... — szepnęła ze współczuciem.

— Gdy go długo nie było widać, wzywałem go. Nie dziw — karmił się moją krwią serdeczną. Byliśmy niejako krewni.

— A ta rana... Pokaż mi pan tę ranę! Odkryj się, jak przed siostrą.

— Niech pani przebaczy, nie mogę teraz... może później...

Milczeli oboje czas jakiś.

Prometeusz, wzruszony jeszcze, począł: — co najboleśniej rani, to właśnie jest drogiem... drogo przez ból kupionem, przez ten ogień. Sto kar niechby podobnych, skradłbym jeszcze. Miłość przemienia.

— Och miłość!... — szepnęła marząco panna Irys.

— Nieraz, gdy noce czarne przyszły i, jak daleko okiem sięgnąć — a ze sępiej swej wyży przebiegać mogłem obszar wielki — nigdzie światełka... Wówczas rozpalała się rana mego serca i, jak ognisko rubinowe, świeciła w pustce zmroczniałej. Czułem się latarnią zbawczą dla pielgrzymów, zawieszoną u wysokiej skały.

Stał się wielce wymownym, aż panna Irys z nieukrywaną radością przerwała:

— Ja czułam, że pan musi być poetą! Prawda, że zgadłam?

— Niestety — odrzekł, stropiony — nie pisałem wierszy. Mogłem tylko śpiewać pieśni o swoim... sępie.

— Właśnie, o sępie. Ja to gdzieś nawet czytałam. Pan jest prawdziwy poeta!

— Oh, pani — bąknął zawstydzony Prometeusz.

I znowu milczeli chwilę.

— Jak to dziwnie los kieruje... — rozpoczęła tym razem panna Irys. — Zawsze lubiłam chodzić w tę dolinę. Jakby przeczucie jakieś mię tu wiodło. A dziś tom szła jak we śnie, jakąś siłą tajemniczą pchana... i coś mię ciągnęło w głąb... ażem spotkała pana.

— To dziwne... — rzekł podobnie wzruszony Prometeusz — bo i ja... jakbym się pani spodziewał. Nieraz patrzyłem tesknemi oczyma na dół... a widziałem cię w myślach... Pani mi już oddawna znajoma.

Spuściła rzęśnie powiek i patrzyła ku ziemi na nos wysuniętego bucika, oczekując dalszych wynurzeń. Lecz Prometeusz zająknął się, jak student przy pierwszych oświadczynach, i przerwał, zakłopotany. Wtedy panna Irys, jakby nagle zbudzona z zadumy, podniosła się z westchnieniem z kamienia.

— Już wieczór!... Co tam w domu powiedzą! Musi mię pan odprowadzić.

Skłonił się w milczeniu — i poszli wespół otwartą doliną.

— Jakiż pan małomówny! — rzekła panna Irys niejako z wyrzutem, gdy uszli spory kęs drogi, nic nie mówiąc.

— Przepraszam... odwykłem od towarzystwa... zdziczałem — sprawiał się, jąkając znowu, Prometeusz.

— My pana oswoimy! — szepnęła ciepło i wejrzała nań bokiem litośnie, uśmiechając się do serca swego.

Właśnie wychodzili z doliny na przestrzeń rozwartą.

Prometeusz zatrzymał się nagle, popatrzał z trwogą przed siebie, a potem zwrócił spojrzenie w dolinę, długie, ociągające się i jakby wyczekujące.

— Co panu? — z przestrachem spytała.

— Nic... mój sęp...

Panna Irys żachnęła się niecierpliwie, lecz, nie okazując głosem irytacji, rzekła z przyjazną perswazją:

— Niechże się pan już nim nie trapi! Dość się pana nagryzł! Kto widział tak się poddawać... I to Prometeusz!... No, nie smęcić się! — dodała cieplej i ujęła jego ramię.

Niepokój gasł w jego oczach i nikło jego osępienie pod ciepłem jej słów serdecznych. Bezwolnie postępował obok wśród mroczniejącej już równiny.

— Niechże mi pan da rękę... Tak tu dziko...

Spełnił rozkaz posłusznie.

— A więc ten sęp wciąż pana straszy... Brzydkie ptaszysko! Doprawdy, jestem zazdrosna. Ani jednej uwagi dla mnie. Cała myśl tam — przy Gewoncie... Nie, tego nie zniosę! — mówiła w naiwnem zadąsaniu. — Sępa każę zastrzelić...

— O!

— Tak, z zazdrości, zapowiadam... A potem weźmiemy się do pana Prometeusza!... Ranę wyleczymy... smutkowi nie damy przystępu...

— Zatem nowe więzy? — rzekł żartobliwie.

— Jedwabne... Trudniejsze do przerwania...

— O bogowie! Niezmienne są wasze wyroki...

II.

— Kochasz?

— Kocham!

— Powtórz jeszcze...

— A więc: kocham! kocham! kocham!...

— Mój złoty...

— Iry moja...

Siedzieli na ławeczce, splecionej z białych palików brzozowych — w parku. Dokoła nich i w nich jaśniało słoneczne rano. Byli od paru niedziel zaręczeni.

Długo opierał się temu ojciec panny, nie chcąc mieć, jako kupiec solidny, za zięcia człowieka o zgoła niepewnej przeszłości bez stałego miejsca zamieszkania.

— Nieznane nazwisko...

— Ależ tatku! Cały świat mówi o nim...

— Coś słyszałem, ale...

— Jakby to papie powiedzieć... On z-eksproprjował ogień, na który Olimp miał monopol!

— Sprawa nieczysta, znaczy się...

— Ależ najczystsza w świecie!

Nie dawał się przekonać. Dopiero, gdy panna Irys, zużywszy przy pomocy ciotek wszystkie sposoby, sposobiki, oświadczyła stanowczo, że umrze, rad nierad musiał się zgodzić; nie wcześniej jednak przyzwolił na zaręczyny, aż Prometeuszowi za jego staraniem przyobiecano posadę w banku.

Teraz wolno im było publicznie okazywać sobie miłość, całować się, pieścić spojrzeniami, chodzić we dwój do teatrów, jak i do kwietnych od strojnych kapeluszy parków.

Prometeusz nie z odpowiednią ochotą to czynił. Miał jeszcze jakieś onieśmielenie przed ludźmi, pozostałe z pustelniczego okresu, i nowo rodzącą się, w miejsce dawnej, bezkrytycznej a stanowczo zamierającej do ludzi miłości, jakąś niejasną niechęć do nich, gdy się im przyzierał z bliska. Lecz panna Irys gwałtownie pragnęła ukazywać się z nim razem na oczach ciekawości ludzkiej: — niech widzą, niech żółknieją z zazdrości przyjaciółki, że Prometeusz jest jej narzeczonym. Z niemałym bowiem trudem do tego wreszcie zdążyła.

Siedzieli więc obok siebie na ławeczce, osłonionej krzewami bzu, i obyczajem narzeczonych darzyli się uśmiechami i jasnością ócz rozszczęśliwionych.

— Jakiś ty śliczny! — wyszeptała w uniesieniu, spodziewając się dla siebie conajmniej podwójnych zachwytów.

Lecz Prometeusz nie douczył się jeszcze podręcznika dla narzeczonych, gdzie na końcu są odpowiednie rozmówki. Posiadał dotąd w tej kwestji elementarną tylko wiedzę. Zatem milczał, uśmiechając się grzecznie w podzięce, a przytem nie zauważył, jakoby w słowach przesadzała.

Istotnie, w modnem ubraniu, o zaokrąglonem już i zaróżowionem nieco obliczu, gdy, przechodząc ulicą, przezierał się w szybach, widział, że nie wygląda gorzej od pięknego z najdroższego bazaru subjekta.

— Mój Promuś!... — szepnęła, pieszcząc oczami jego wyładniałą głowę.

Prometeuszowi niemile zabrzmiało w uszach to zdrobniale urobione imię. Uczuł pewien wstyd i jakoby zawinienie pewne wobec... sępa.

Spoważniał i myślą przeniósł się do swoich gór. Gdzie *on* też teraz?... Pewnie z tęsknotą krąży ponad skałą — a skała pusta... Zmęczony kołowaniem, siada na cyplu skalnym i głodny wzrok puszcza w dół po wancie, gdzie tkwi jeszcze rdzą przegryzione ogniwo...

— Gdzież tak daleko patrzysz? — zagadnęła go Irys, nachylając się przed jego oczy.

Popatrzył poważnie na nią, jakby nie słyszał pytania.

— Cóż tobie? — rzekła już zaniepokojona. — Patrzysz na mnie, a nie widzisz mnie. Obudź-że się!

— Wydaje mi się jakobym był zbiegiem... — rzekł powoli.

— Nie rozumiem cię.

— Tak, tak...

— Żeś się wyrwał z tych więzów?...

— Czym powinien był...

— Ależ rzecz prosta. Czyś nie cierpiał? Któż dobrowolnie chciałby mękę znosić? I za co? Za jakie grzechy? Masz się też jeszcze czem trapić!

— Zapewne... tak... cierpiałem... lecz...

— O cóż ci idzie?

— Słuchaj, Iry... Chociaż — cóż mówić...

— Ależ mów! proszę...

— Czy ty nie będziesz mieć nic przeciwko temu... to jest... nie tak...

— No mów-że! drogi...

— Czy ty zrozumiesz mnie, jeżeli...

— Całem sercem będę chciała...

— Jeżeli czasem wrócę tam... Gdybyś ty wiedziała, jakie tam miałem sny!... z Gewontu...

— Ależ drogi! — najchętniej! — sama pójdę z tobą... Wiesz przecie, jak ja kocham góry. Ach! Zakopane! Nienawidzę miasta. Będziemy chodzić razem w to miejsce... pamiętasz? Będziemy sobie przypominać. Będziesz mi opowiadał o swoich tam snach — i o tym... sępie. Gdybyś wiedział, jak ja go nienawidzę...

— Iry!

— Nienawidzę go za to, żeś tyle przez niego cierpiał...

— Kiedy on mi drogim... był.

— Cóż cię teraz obchodzi? Nie myśl o tem. Nie wracaj. Myślałam, żeś się już raz na zawsze pozbył tej myśli dręczącej... Że jak będziesz miał mnie... Chyba, że się nie czujesz szczęśliwym...

— Iry...

— Bo pocóż wracałbyś do tego, co cię żarło.

— To jest rzecz... widzisz, trudno wytłomaczyć... Coś każe dawać się w ofierze... jakaś odpowiedzialność wobec trybunału, który jest jakoby wewnątrz nas — i sądzi... Nigdzie ucieczki od tych sądzących oczu...

— Ucieknij, schroń się ku mnie...

— Tak... gdy w twoje jasne oczy patrzę, tracę ten wzrok sądzący... Lecz wstaje znów niepokój we mnie, jakby jakoweś zawinienie...

— To nerwy, wierz mi, to tylko nerwy. Zżarła cię ta męka, ten... ten... sęp!

— I wiesz... Hm, spowiadam się tobie, jak duszy swej...

— Twoja! — rzekła ciepło, przytulając się wdzięcznie ku niemu.

— Jest jeszcze jedno, co mię niepokoi... Nie czuję już w sobie tego żaru — od ognia, który bogom wydarłem...

— To ten ogień, co z Olimpu?...

— Tak — miałem go w sercu...

— Toż to piekło!

— Piekło i raj... Wszak to ogień boski. Trwożę się, żeby nie zgasł...

— Nie zgaśnie, jak ci o to chodzi...

— Na pustce rozżarza się, jakoby od wiatru, a pośród ludzi przygasa, a przecie ja go dla ludzi...

— Co cię ludzie obchodzą?

— Teraz mniej... I to mię również niepokoi.

— Ach te niepokoje wieczne?... Zabij je w sobie, zniszcz, odpędź — nie daj do serca przystępu...

— Hm... — tak powinien mówić mój wróg.

— No nie! Ja tak tylko... Nie myślałam wcale... Promuś!

Zesmutniał i zwiesił głowę. (Dlaczego znowu „Promuś"?)

— Mówiłam ci przecież, że chętnie pójdę z tobą — tam i wszędzie, gdzie zechcesz. Ale jeżeli miałabym ci być kulą u nogi, to wolałabym... wolałabym...

— No, Iryś... cóż znowu... skądże to przypuszczenie?... Łzy?... Na Boga, Iry... bo zcałuję.

— Ja tak góry kocham (przez ciebie), a ty mi ciągle wyrzucasz...

— Nic nie wyrzucam.

— Z ludźmi pozrywałam (dla ciebie) i u nikogo nie bywam...

Prometeusz zdziwił się tym jej słowom, zastanowił się nieco, lecz wnet wątpienie jego się rozwiało, gdy pomyślał: „Musi tak być zaiste, skoro tak mówi. Zapewne już u nikogo nie chce odtąd (ze względu na niego) bywać.“ Z wdzięcznością rzekł:

— Dziękuję ci. Nie wymagam przecie, Iry, żebyś ze względu na mnie oddalała się od ludzi. Mój świat — to pustka...

— A czy nie uciekałam od ludzi ku tej pustce, nim cię jeszcze znałam?... Czym nie szła ku tobie naprzeciw?

— Prawda...

— To też i teraz twój świat będzie moim.

— Iry najdroższa!

— Będę z tobą włóczyć się jak mgła — po wierchach — ponad urwiska, przepaście...

— Słonko moje!

— Ach Tatry!... Nieraz śniłam, że chodzę z tobą po tych turniach, żlebach, krzesanicach, a ty mi opowiadasz o skarbach tam zaklętych, o zbójnikach...

— Kochasz ten świat bajeczny?

— Niewymownie!

— Pójdziemy w ten świat, Iry...

— Tylko, mój drogi, mój złoty, zaraz po ślubie nie wypada. Za blisko. Po ślubie pojedziemy do Włoch. Albo nie. Do Włoch wszyscy jadą. Nawet Stacha z mężem — choć jej ojciec robi tylko w de-

tailu. Gdzieś, gdzie rzadko kto od nas... do Szwecji! albo Norwegji! Ach, fiordy! fieldy! Jak ja kocham fieldy! To musi być coś wspaniałego. Dobrze?

— Wszędzie z tobą!...

— Albo wiesz, gdzie? Na Krym. Tam podobno drugi Neapol... cyprysy!... Tylko, że tam znowu — blisko Kaukaz... Wszędzie te wstrętne góry... chciałam powiedzieć: te miejsca, co cię tak... wzruszają. Chociaż ty na Kaukazie nie byłeś? jak mówią...

— Stare dzieje....

— Prawda?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Drogi — powiedz mi co wesołego o tym... sępie.

— ?

— Musiało zabawnie wyglądać, jak tak zlatywał... i karmił się... co?

Prometeusz nagle sposępniał.

— Wiesz... ja go już kazała zastrzelić.

— Co?!

Uniósł się. Lecz zaraz pomyślał: „Ja sam tylko mogę go zgładzić.“

A ona:

— Możesz mnie zabić zato.

— Iry! — odrzekł już rozpogodzony — mówisz jak dziecko...

— Bo ja... wszystko dla ciebie!

— Znowu łzy?... Iryś?

Całował ręce jej, włosy, oczy — aż uśmiech na ustach jej zakwitnął.

— O, widzisz, tak najpiękniej.

— Nie gniewasz się już za tego sępa?

— Nie. Lecz, proszę cię, nie mówmy o nim.

— To ty nie myśl o nim.

— Już nie myślę.

— Albo wiesz... Ale nie śmiem cię prosić... Boję się, że znowu cię urażę...

— Mów, moje złote, nie urazisz mię...

— Kiedy...

— No proszę...

— Chciałam cię prosić... żebyś napisał wiersz... o tym sępie. Tak, jak to czujesz... i z dedykacją dla mnie...

— Spróbuję... choć trudno będzie...

— Ach, jakżem ci wdzięczna! Dziękuję ci, najdroższy. Będzie prześliczne! Już widzę. Ty sam nie możesz ocenić. Tylko wszystko tam włóż: i Tatry, i burzę, i grzmoty, i to... jak ci serce rani... rozrywa...

Prometeusz z uśmiechem, wstając:

— Wszystko, wszystko napiszę... spróbuję...

— Będzie prześliczne! mówię ci. Mój... poeta!

— Jak ty umiesz pętać...

— Srogie te więzy?

— Rozkoszne.

— Już nie żałujesz tamtych?

— Ani myśli...

— Będziemy szczęśliwi! Promuś!... Będzie nam dobrze, jak nikomu z ludzi! Będziemy mieszkać w lecie na wsi — w zimie w mieście... Mieszkanie urządzimy ślicznie. Sprawimy sobie meble zakopiańskie...

Szli razem zwolna „alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami,
I padał biały kwiat lipowy“
Na ich marzące, śliczne głowy...

III.

A, iż nikto „nie wiedział o żadnej przeszkodzie“, po zapowiedziach formalnych odbył się ślub Prometeusza z panną Irys i zwyczajem wskazane wesele. O tem wydarzeniu, które, jakkolwiek spodziewane, „wstrząsnęło“ przecież „całą Warszawą do głębi“, pisał król reporterów w najpoważniejszym z wesołych dzienników:

„Już wczesnym rankiem, skoro świt zajaśniał, zgromadziły się tłumy ludzi przed kościołem wskutek ogłoszenia o mającej się odbyć uroczystości zaślubin znanej z piękności panny Irys, córki naszego znakomitego obywatela i kupca, ze znanym poetą i urzędnikiem banku... Prometeuszem.“

„Właśnie zaświecały się księżyce lamp elektrycznych, gdy poczęły zajeżdżać przed kościół powozy. Wysiadały z nich strojne damy, wszystek kwiat naszej stolicy, a obok nich panowie we frakach o śnieżnie białych gorsach, którzy z rycerską galanterją podtrzymywali je, gdy, jak niebianki z Olimpu, spływały po stopniach powozów na ziemię.“

„Tłum cały, który tak rzadko niestety ma poetyczny obraz przed oczyma, podziwiał w wiele mówiącem milczeniu ten czarujący korowód.“

„Nagle dreszcz przeszedł wśród tłumu. Przez białe ciągniony rumaki, ukazał się różami ubrany powóz, a w nim, jako zjawisko cudne... panna młoda. — *Ona* jaśniała jak jutrzenka czysta, a *on* zaś jak Apollo, w swej pochmurności wyższy ponad tłum śmiertelnych. — Lekko zestąpili na bruk i, otoczeni drużbami, szli do ołtarza wśród szpaleru widzów, a za nimi płynął szmer podziwu.“

„Po skończonym obrzędzie wracali taksamo, jeno oczy panny młodej jaśniały szczęściem, jak oświetlone brylanty, a nad czołem pana młodego unosiła się lekka chmurka, zrodzona z poważnej chwili. Organy skocznie grały.“

„Poczem wszyscy wsiedli do powozów i pomknęli girlandą weselnego *corsa,* a tłum nędzny pozostał, długo nie mogąc wyjść z zachwytu i komentując to zdarzenie na różne sposoby.“

„Apartamenty weselne, umyślnie na ten cel wynajęte w Grandhotelu, jaśniały rzęsistem światłem. W powodzi świateł, róż, bukietów i powabniejszych od róż pań, zatracała się rzeczywistość, a wstawał obraz bajeczny z Tysiąca i jednej nocy“, elektrycznie oświetlony. Jak w czarodziejskim kinematografie, przewijali się goście weselni przez szereg jasnych sal. A jak egzotyczny kwiat między swojskimi, wyróżniała

się między pięknemi druchnami rzadką pięknością i strojem — panna młoda."

„Oto idzie — nie — płynie przez salę i miłosnemi oczyma szuka oblubieńca. Niema go w ciżbie weselnej. On samotności szuka — poeta... „Czym śpiewak dla ludzi?..." Aż znajduje go w pobocznym kiosku, marzącego. Oczy ich spotykają się i, szczęściem oszołomione, topią się w sobie... Gdzieś szmerzy fontanna — gdzieś słowik kwili."

„Z tego snu krótkiego budzi ich muzyka. Sale rozbrzmiewają dźwiękiem — goście kaskadą wabną puszczają się w tany — światła drżą... Czar walca. — Następuje wieniec tańców, w których się dusza, jak mówi poeta, obnaża. Wszystko się cieszy, raduje i zapomina o troskach dnia. Czar działa."

„O północy muzyka zamilkła, wezwano do kolacji. W złocistej sali przy stole przybranym w kwiaty zasiedli goście na miejscach, jakoby przeznaczeniem wskazanych: panowie obok pań. Wytresowani lokaje pod genjalnem okiem kierownika roznosili wabiące półmiski. Menu składało się z piętnastu dań. Wśród wykwintnych potraw, drogich pasztetów, nie brakło prawdziwych francuskich trufli, najdroższych win i południowych owoców. Wzruszenie ogarniało zebranych. Lecz prawdziwa zapanowała serdeczność, gdy wniesiono kosze szampana (pierwszej marki). Wnoszono toasty na cześć państwa młodych i wiwatowano ochoczo. Pan młody, wzruszony tym wy-

lewem uczuć, odpowiedział w przydłuższej nieco, bardzo poetycznej mowie, i choć niestety zawartych w niej głębokich alluzyj pod adresem nieobecnych nie wszyscy z gości zrozumieli, jednak mowa swoją oryginalnością zrobiła wielkie wrażenie. Zapanowała wylewność, właściwa tylko Słowianom — przy dźwiękach skocznej muzyki bawiono się ochoczo do białego dnia. „I ja tam między gośćmi byłem, miód i wino piłem“... (Asfer).

Podobne, choć nie tak poetyczne artykuły ukazały się i w innych gazetach.

Ludzie skeptyczni poczęli jednakże twierdzić, iż nie tak sielankowo — idyllicznie, jak opisywano, zakończyło się owo wesele. Coś przebąkiwano nawet o skandalu. — Poczęto pilnie wyjaśniać, co jeszcze rzecz zaciemniało.

Lecz my (mrugnięcie w stronę czytelnika), którzy znamy Prometeusza z poprzednich dwóch rozdziałów, wiemy, jak się rzecz miała w istocie, i że ludzie, nieprzyzwyczajeni do gestów prometejskich, łatwo mogli uważać za skandal, co było w rzeczy naturalnem.

Nam już bez sprawdzań wiadomo, że same niezwyczajne przygotowania do ślubu musiały Prometeusza srodze oszołomić. W tem oszołomieniu stanął przed ołtarzem i mówił słowa przysięgi. Lecz skoro tylko od ołtarza się odwrócił — jakby czar z niego spadł... Sakrament go odmienił. Czuł, że się coś za nim zamknęło — jakaś furtka, którą czyjaś

dobra ręka oliwą nasmarowała, iżby pocichu się zawarła — i oto znalazł się niespodzianie (tak mu się zdało) na miłem podwórku. Patrzał w zdumieniu dookoła — i wszystko inaczej mu się przedstawiało, niż gdy wchodził. — Zdziczenie jego, niedoszczętnie widać przez zabiegi panny Irys wytępione, w tej sytuacji się ozwało. — Każdy oswojony człowiek patrzałby we drzwi domu, cieszyłby się w sercu na przyjęcie, na miłą, tem ciekawszą, iże nieznaną gościnę. A on, jakby w potrzasku, szukał oczyma w płocie dziury, którąby można umknąć. A skoro widział, że niema nijakiej rady, przybrał poważną minę gościa — i z takim wyrazem szedł z kościoła.

W drodze, gdy przejeżdżali przez gwarną ulicę, z hałasu ulicznego doleciały ich okrzyki roznosicieli dzienników:

— Wesele Prometeusza!... Straszne utonięcie w balji!... Katastrofa!...

Prometeusz zasępił się — dowcipni tłómaczyli: przypomniał sobie sępa.

Panna Irys, przytulając się do jego ramienia, szeptała w rozpromienieniu:

— Ach, jakam szczęśliwa!

Zajechali do hotelu. Prometeusz snuł się między gośćmi, znowu dziwnemu oszołomieniu poddany. Przechodził z sali do sali, plątał się niezdecydowanie i z nieśmiałością niejaką, jakby się znalazł na czyimś weselu i to nie bardzo proszony. — „Właściwie

poco ja tu...“ — uparcie mu się nasuwało. Przezdawało mu się czasem, że jest w gościnie przymusowej... a ma gdzieś iść — gdzieś jechać — coś ważnego... Lecz trudno wymknąć się, furtka zamknięta. Czyja ręka? Czy los?...

Gwałtem chciał się otrząść z tego przykrego uczucia — przyuśmiechał się bez racji do osób spotykanych — coś do kogoś przegadywał — lecz na nic, nie mógł się pozbyć tej gnębiącej zmory.

I, gdy tak z gościnnym na ustach uśmiechem a zaostrzonym wzrokiem snuł się po salach jasnych, zauważył, iż wszyscy goście tworzą społeczeństwo jakieś, którego on tam na swej skale, chowając ogień zrabowany, nie znał, nie przypuszczał zgoła. Znał tylko ludzkość i bogów.

Jaki jest — dumał — stosunek jego do tej społeczności?... Miał uczucie niejasne: iż coś odkrył i zarazem coś stracił. Uczucie winy, dawno już w nim tkwiące, rosło aż do strachu. Szukał oczami swojej Irys, i ze zdziwieniem ujrzał, iż ona w tem społeczeństwie czuje się między swoimi...

— Rrrond! — wrzasnął aranżer. W sali tańczono.

Prometeusz trwożnie usunął się — przebiegał oczyma twarze — szukał krewnej istoty. Aż dojrzał w kącie malarza, którego mu dziś przedstawiono. Zbliżył się ku niemu i spytał:

— Cóż tu pan robi?

Malarz podniósł nań zdziwione oczy.

— Jestem na pańskiem weselu. Miałem już zaszczyt...

— Aha. No nic. Chodźmy gdzie... schowajmy się.

I pociągnął go za sobą do pustej, odległej salki. Wybiegł i za moment wrócił z flaszkami.

— Urządzimy sobie knajpę... — nalał wina do szklenic. — Pij, przyjacielu!

Wychylił kielich jeden — drugi. Pragnął się wyraźnie upić. Malarz wciąż ze zdziwieniem statecznie akompanjował.

— Znasz pan moją historję? — zagadnął nagle Prometeusz. — No tak... bo to już historja właściwie...

— Znam... jakże... wiadomo powszechnie...

— Co pan sądzi o tem?

— Sądzę, że pan wiele musiał cierpieć...

— ...

— Za to bogowie odwdzięczyli się panu dniem dzisiejszym.

— Zemsta bogów jest słodką... pijmy!

Po chwili, czując, że coś dla wytłómaczenia się rzec potrzeba, począł:

— Widzi pan... mówią: wino podsyca żar boski... A ja, przyznam się panu, mam takie dziś uczucie, jakby ten ogień we mnie zgasł... jakby go ktoś nogami zadeptał...

— Skądże to dziś u pana...

— Czuję próżnię... podczas kiedy tam czułem pustkę i żar. Och tam!...

— A taką piękną pieśń niedawno wyśpiewał pan o sępie... Talent pański wciąż rośnie...

— Tak... „musi zginąć w życiu, co ma ożyć w pieśni." Pij, przyjacielu!... Cichutko tu, zacisznie...

— Ale cóż powiedzą goście... Irys...

— Co nas to — do cholery... Pijmy!

Nachodziła go szczerość warszawska.

— Słuchaj, bracie.. Kochałeś się w Irys... Nie zaprzeczaj. Mówiła mi o pewnym malarzu... znaczy się: o tobie... Och czemuś ty wtenczas... Znasz dolinę Strążyską?

— Nie.

— Wszystko jedno. Winszowałbym dziś tobie... Obaj my, bracie, nieszczęśliwi... Wypijmy „Bruderschaft"!

Piją. Prometeusz w rozczuleniu:

— Widzisz (wskazuje salę), tam jest „to, co nas pożera"... A ja czułem... Pamiętaj, nie chodź do doliny Strążysk!

— Cóż tam jest?

— Tam... kiedyś... krążył mój sęp...

— Więc nie na Kaukazie?

— I ty także... przyjacielu? Bajki, mówię ci, bajki chodzą o Prometeuszu!... Wszystko jest bajką — i ty, i ja tutaj...

Rozległ się dzwonek — wołania — we drzwiach stanęło paru ze służby, wzywając do kolacji.

— Trzeba iść — rzekł malarz i podjął za ramię pijanawego dość Prometeusza.

— Czekaj... chciałem ci pokazać... Odejdźcie, niewolnicy... precz!

Rozchylił gors koszuli i rzekł z gestem odpowiednim, tajemniczo:

— Widzisz tę bliznę na sercu...? Tobie tylko, przyjacielu... Chodźmy.

Do stołu już zasiadano. Prometeusz zajął miejsce obok Irys i, czując na sobie badawcze spojrzenia, przybrał wyraz obojętno-ponury. Malarza usadzono przy szarym końcu.

Tu trzeba uzupełnić sprawozdanie reportera; iż w czasie kolacji lekki pogwar, jak brzęczenie pszczółek nad kwiatkami, unosił się nad stołem, i że zamiast trufli podano zwyczajne grzyby, zwane po naszemu sowy, pasztetu wcale nie było, a po kolacji podano jedynie wino i piwo bawarskie (szampan pił tylko reporter, w wyobraźni). Toastów zato było bez liku, i kwartet z trzynastu głosów na częste „niech żyją!“ z akompanjamentem solowym wszystkich osób.

Skoro już trzydziesty trzeci toast podniesiono — a wypowiedział go mąż poważny i zacny, prezes stowarzyszenia kupieckiego, wyraźnie pijąc do sławy pana młodego, o której „wszędzie, w każdej gazecie jest, i nawet w stowarzyszeniu kupieckiem odczyt

jakiś tam miał o tem“, gdy poprzednie toasty dotyczyły głównie sypialni małżeńskiej — Prometeusz, który coraz to bardziej ponuro dziękował, uśmiechnął się niezgrabnie w podzięce na ostatnie prezesa życzenie („żeby nam tak jak Sienkiewicz zajaśniał, i żeby stąd na nasz stan kupiecki spłynął honor“ ...), wychylił kielich, powstał i, przeczekawszy, aż się uciszyło całkiem, przybladły nieco ze wzruszenia, a czerwonawy od wina, rozpoczął:

— Szanowni i zacni goście!... Serdecznie wam dziękuję za szczere wysiłki, jakieście tu podjęli, aby mi wreszcie uświadomić, jaki jest stosunek między mną, a wami? Które to pytanie trapiło mię od czasu, kiedy was poznałem. Wiem, że to nie było waszym celem, jednakowoż serdecznie wam dziękuję.

— Wiwat Prometeusz! — krzyknął ktoś z gorętszych. A on, nalawszy sobie bezceremonjalnie wina do szklenicy, wypił i z trudem ciągnął dalej:

— Oto teraz jasnem mi się staje... I cokolwiekbyście uczynili z dobrej czy złej woli — już mię to nie będzie gorszyć, albowiem rozumiem... Jesteście na swojem miejscu. Tylko ja tu niepotrzebnie się znalazłem. Pozwólcie — zaraz wyłuszczę... Bo nie sądźcie, że każdy, co ma postać człowieczą, jest przeto waszym bliźnim. Tak i ja błędnie sądziłem. Dlatego jestem pośród was, szanowni...

— Niech żyje nam! Chór!...

— Pst! Cicho! — uciszano.

Prometeusz popił wina i dalej rzecz prowadził:

— Są rasy różne... naprzykład: ja i wy... Nie łączy nas prawie nic, a wszystko dzieli. Ja nie uznaję waszej ojczyzny — wy mojej...

— O!

— Proszę... jak państwo czujecie się w pustce?... Widzicie: nie rozumiemy się, choć używamy tych samych słów. Jakby wam tu jaśniej wyłożyć... Weźmy nie ludzi, lecz psy... O psach wszystko wolno. Są więc różne rasy psów — powiedzmy: — wyżły, owczarki, kundysy...

— Oryginalny sposób mówienia — szeptano.

— Neufundlandczyk, a kundys... Jaka olbrzymia różnica! Tylko one łatwo się poznają — czują wzajemnie swój stosunek do siebie — czują dystans! panowie... a nam ludziom trudno się rozeznać.

— Promuś! — syknęła zgorszona Irys, trącając go łokciem.

— Oto — naprzykład... ktoś woła mnie: „Filuś!", podczas, gdy ja w istocie jestem „Hektor". Słowo wam daję: jestem Hektor!

Napełnił winem kielich.

— Gdzieś jest, mój przyjacielu? (Poszukał wzrokiem malarza.) Zdrowie nasze!

A zwracając się do zdziwionych gości:

— Przepraszam, że zdrowia waszego nie piję, albowiem sami się o nie aż nadto troszczycie. Przez całe życie od kolebki ono jest staraniem waszem.

Jesteście niespożyci. Byliście i będziecie. Wasza rasa nieśmiertelna, podczas gdy moja na wymarciu. Mówię więc jako *moriturus*... ten, co ma zginąć — wasz niewolnik. Z bogów był mój ród...

— Wspaniale mówi!

— Imiona ich znane wam są: służyli u was w niewoli — słynęli jako śpiewacy — układali kancony i ody na wasze uroczystości — sławili wasze ogródki... i cóż jeszcze — ginęli za was. Tych zwiecie bohaterami. A wiecie — gdybyście mnie zostawili byli tam na pustce, kto wie, czy i ja nie byłbym... bohaterem. Jak to pięknie byłoby, i dla mnie i dla was. Jak to miło wspomnieć czasem... Zapewne każdy z was ma jakieś bohaterskie wspomnienie — z czasów młodości, rozumie się. I tem wspomnieniem, jak pacierzem, każdą opowieść zaczyna. Naprzykład: „Kiedy byłem Sokołem w Radomiu...“ O — jak to pięknie brzmi i budzi szacunek u słuchaczy. Więc słuchajcie: Kiedy byłem do skały przykuty... (hej! hej! było to życie!)... wówczas czułem się gwiazdą, zawieszoną w przestrzeni. Nie dziwcie się: mówię symbolicznie. Byłem ja i czas koło mnie — i gdzieś tam morze szumiące ludzkości... Nie wiedziałem, że ludzkość — to wy... Mniemałem, że wszędzie są same... Neufundlandczyki. Sroga pomyłka — nieprawdaż?... Jak ja was wówczas kochałem! We własnej piersi chowałem dla was ogień, wykradziony bogom... Nie wiedziałem, że wy macie

już swoje kominki; i że, obaczywszy mię, przychodzącego do was z ogniem, moglibyście mię nazwać podpalaczem. U bogów złodziej — u was podpalacz... gdzieżbym się, nieszczęsny, schronił?

— O, bo wy nienawidzicie wszystkiego, co wam, sądzicie, niepotrzebne. „Strzeżcie się ognia!“ — uczycie dzieci swoje. I wy mówicie czasem symbolicznie. „Strzeżcie się ducha!“ — szepce wam wasz strach. Straszy was wszystko, co skrzydlate. Jakoż nienawidzicie mego... sępa. A zaciekawia was... zwłaszcza w owym momencie, gdy się mem sercem karmi. Pragniecie może, bym tu zademonstrował przed wami? Zawsze lubiliście teatra krwawe... *Circenses!* Niestety, zabiłem go: — nie dał się oswoić... Cóż tak głupio patrzycie? Mówię: zabiłem go!... I cóż was jeszcze straszy? Czy może Ducha widzicie przed sobą? Huzia, zabijcie go! Zdepczcie, oplwajcie, wyśmiejcie! Wszak zawsze tak czyniliście... Ziemia wasza. Bezsprzecznie wy panujecie. Króle z was i papieże... Ktoby was nie zechciał uznać — gdzie się schroni?... Przez pustki idą tramwaje wasze — w puszczach łoskocą wasze tartaki — władza wasza sięga aż do jaskiń. Koniec jej, jak początek — w mroku. Sławi was wszystko: zarówno hurkot młynka do kawy, jak hurkot dział. Dla was też wszystko na ziemi: rośliny i zwierzęta, deszcze i pogody... Jedynie piękno nie dla was — ale o tę małą cząstkę nie stoicie. Czegóż wam brak?

Mniemałem, że brak wam ognia. I ważyłem się na ten czyn... Lecz wy ognia nie pożądacie — pożądacie tylko ciepła. Zdrowie przed wszystkiem! Jakże mądrzy jesteście i... przewidujący. Dziwne, że śmierci dotąd nie usunęliście. Ta także zdrowiu szkodzi. Patrzcie — ja za was już się niepokoję — zaczynam być już waszym... śpiewakiem. Granica między nami, to jedna myśl... Zatem: Niech ginie wszystko, co was straszy — mówię wam: zabijcie ducha! — a niech się rozrasta, niech pęcznieje, niech promienieje w wieczność wasze zdrowie!... (Wzniósł kielich i wypił do dna.)

Gdy skończył, grzmot oklasków rozległ się po sali.

— Niech żyje! Niech żyje nam! — huknięto chórem.

Prometeusz stał zdumiony, wreszcie wściekły. Nie takiego był pewny sukcesu. Gdy przycichło w sali, ozwał się wprost:

— Czyż nie widzicie, że was... nienawidzę?

— Brawo! Brawo!

Jeszcze huczniejszy grzmot oklasków i nowe: „Niech żyje!“

Prometeuszowi teraz jakby wszystko wino wypite do głowy buchnęło, i uczuł w mózgu żar... Jak stał, trzasnął kielichem w widoczną łysinę prezesa...

Stał się skandal okropny. Wszyscy się porwali z miejsc. Panna Irys dostała spazmów — trzy ciotki

zemdlały. Wśród hałasu i krzyków oburzenia jeden chór się podniósł, stylowy, z łamaniem rąk:

— Nie u-sza-no-wał ły-si-ny!...

Odpowiadali później goście ze zgorszeniem, iż w pijanym szale wykrzykiwał słowa bez związku: „Sępie mój! Przeniewierstwo! Niechaj się mści!“ i tym podobne warjactwa, aż padł na ziemię, i odniesiony został na kanapę.

Lecz skandal ów, jak wszystko zresztą, przebrzmiał wnet, ludzie zapomnieli; tem łatwiej, że Prometeusz, dzięki przymiotom swoim i stosunkom teścia, został wkrótce dyrektorem banku.

Żyje solidnie, ubiera się podług mody, mieszka przyzwoicie — wprawdzie nie wśród zakopiańskich, lecz zato wiedeńskich mebli — i myśli o swoim... sępie? ach, nie... zdrowiu. Czasem tylko, gdy wina zadużo wypije, przychodzi nań wzruszenie. Wtedy bierze za rękę najszczerszego przyjaciela, prowadzi go na bok i, odchylając przed nim gors koszuli, pokazuje mu bliznę na sercu, gdzie była rana. Blizna już małoznaczna. Utył. Wkrótce tłuszcz ją zaleje.

„Napoleon“.

Bywa, iż człowiek nie czuje siebie samego, nie wie, kim jest i czy jest wogóle. Zauważa, że ktoś je, kładzie się do snu, spaceruje, spełnia jakieś czynności — ale czy to on sam, czy naprzykład stołowe nogi, tego nie może rozróżnić. Aż jakiś wypadek zdarzy (jeśli się wogóle zdarzy), że się człek nagle ocknie, poczuje siebie wyraźnie i nawet wartość swoją naocznie zobaczy, której podotąd nie mógł czy nie umiał dostrzec.

Taki szczęśliwy wypadek zdarzył się księdzu Łopatce, proboszczowi z Wiórek.

Pewnego razu przyjechał doń „na partyjkę“ pan poborca z miasteczka. Przyjeżdżał nieraz i odjeżdżał — rzecz zwyczajna, jak wschód i zachód słońca, po których nic się nie zmienia, co najwyżej wyschnie jakaś butelczyna i jakiś tam grzeszek niewielki przybędzie — ale ta właśnie wizyta miała specjalną dla księdza Łopatki wagę i doniosłość, jak ujrzymy, w skutkach.

Z tej racji zdałoby się nieco uwagi panu poborcy poświęcić. Choć o poczciwym wyglądzie,

był to człek w gruncie ambitny i nawet o nieśmiertelność (co jest rzadkie u poborcy) usilnie zabiegający.

— Cóż to jest nieśmiertelność? Imię — nazwisko. Mówi się: Kościuszko — i już wiemy, kto on był, co robił. Przez to, że się tak nazywał. A niechby się nazywał naprzykład Kitajko, tobyśmy nic o nim nie wiedzieli.

To bystrym swoim umysłem rozeznawszy, pan poborca na to postanowił kłaść nacisk w stosunkach swych z ludźmi, by im na zawsze wryć w pamięć swoje nazwisko. Tu się dopiero okazywała jego inteligencja.

— Czapkiewicz... — przedstawiał się z naciskiem i patrzył wnikliwie w oczy osoby poznanej. — Pana nie uderzyło moje nazwisko?

Przeczekał moment zdziwienia i, nie licząc zbytnio na domyślność ludzką, jął pomagać z zapałem:

— Mütze! — panie — Mütze!... Jak po polsku Mütze?... Czapka! — podpowiadał z uciechą. — Więc jak po polsku Mickiewicz??... Czapkiewicz!! — wybuchał przed osobą, zdumioną tem odkryciem. — Tak, panie. Czapkiewicz!... Teraz pan już nazwisko moje zapamięta. Jakby panu przypadkiem wymknęło się z pamięci, to niech pan tylko pomyśli: Mickiewicz... Mickiewicz po polsku... nic więcej.

I dumny był w sercu pan poborca, przekonany będąc, że póki będzie trwał w pamięci narodu Mic-

kiewicz, będzie obok niego i Czapkiewicz. A nawet napomykał w rozmowie z inspektorem, czyby nie było wskazanem spolszczyć nazwiska Wieszcza.

— Bo to panie szelmy Niemcy, plemię zachłanne, gotowi nam i Mickiewicza zaanektować, że to niby od Mütze... A jakże! Kopernika nam ukradli, choć nazwisko jego czysto polskie, pochodzi od koper.

Pan poborca stał się etymologiem od czasu, gdy zaczął rozbierać w rozumie swoje nazwisko.

Starał się też pan Czapkiewicz naśladować swego Imiennika. Włosów długich nie mógł zapuścić, bo był łysy, ale za to nosił długi płaszcz i wysokie kołnierzyki. Często, przechodząc, stawał na moście i pozował się, jak Tamten na pomniku. Ludzie, mijając go, szeptali z szacunkiem: „Czapkiewicz...“ Miło mu brzmiały w uszach te szepty tłumu.

A że sam czuł się już osobą wielką, chcąc się utwierdzić w tem poczuciu (bowiem wątpienie go nachodziło: jak to może być, żeby pan rejent i pan radca byli zwyczajnymi ludźmi, gdy on, poborca tylko...) począł upatrywać w bliźnich swoich szczegółów podobieństwa do ludzi wielkich. I, przypatrując się dokładniej, ujrzał ze zdziwieniem, że każda z utytułowanych osób, pomijając pewne niedokładności, w jakimś szczególe do znanej z kart wielkości jest podobną.

— Pan radca ma nos jak Juljusz Cezar — mówił z szacunkiem do sędziego.

— Pan aptekarz ma oczko, jak Radecki!

I tym podobnie. Zauważył pobocznie, że zjednuje sobie temi spostrzeżeniami przyjaciół. (Pospólstwo tylko nie wyróżniało się niczem.)

To też, grając z księdzem Łopatką trzecią już „partyjkę“ — gdy śledził oczyma ponad karty w twarzy jego głęboko skupionej, jakie może mieć atuty w ręku — aż podskoczył na krześle w zdziwieniu i:

— Wie ksiądz co? — zawołał — ksiądz całkiem do Napoleona podobny!

Ksiądz Łopatka przybladł ze wzruszenia, poczem się rumieńcem okrył.

— Skądże... gdzież — począł jąkać.

— Jak Boga kocham. Że ja też dotąd tego nie spostrzegłem...

Nie mógł jednakże spostrzec wcześniej, bowiem dopiero tydzień temu, jak widział Napoleona — w sztuce, którą pokazywali w miasteczku przejezdni aktorzy.

— O... ten sam podbródek, te same usta, nos... nawet ten kosmyk włosów, opadający na czoło. Prawdziwy Napoleon! Nawetby się ksiądz proboszcz nie potrzebował na scenę nic zmieniać. Jeno ta rewerenda...

— Mam szary płaszcz...

— Ach, to znakomicie! Ten właśnie był w szarym płaszczu. Tylko guziki błyszczące... To można łatwo dać przyszyć. Zresztą wszystko w porządku.

Ksiądz Łopatka uczuł, jak wstępują weń nieznane jakieś moce. Uświadomił sobie w tym momencie, kim mógłby być, a przeto kim jest. Poczuł siebie nareszcie.

— Ksiądz jegomość wychodzi — orzekł poważnie, jak przeznaczenie samo, pan poborca.

Ksiądz Łopatka wiedział już, kim jest. Ściągnął brwi w skupieniu groźnem — prawdziwy wódz przed bitwą — i nie gorączkował się, ważył, czem naprzódy uderzyć... Nagle z nienacka spadła jego ciężka dłoń na stół, jak piorun.

Pan poborca uczuł się zaskoczony. Nie przypuszczał takiego ataku. — Aż tu raz za razem poczęły padać na stół gromy — rzekłbyś: sam bóg wojny miota z chmur niechybne pociski. Pan poborca, aczkolwiek Czapkiewicz, czuł się tym impetem iście napoleońskim księdza doznaku oszołomiony. Próbował się jeszcze bronić, ale już nie zdzierżył. Przegrał z kretesem. Nie była to klęska, ale pogrom. Wagram — Jena — Austerlitz.

— Może jeszcze jedną partyjkę? — pytał dyplomatycznie ksiądz Łopatka, bowiem wiedział z historji, że i dyplomatą był Napoleon.

Lecz pan poborca nie czuł się już „w sztosie“, jak mówił, lubił się bowiem poetycznie, jako „Mickiewicz po polsku“ wyrażać. Pożegnał się też wkrótce i odjechał.

Po jego odjeździe ksiądz Łopatka począł chodzić ostrym, bohaterskim krokiem wzdłuż salonu. Pierwszy to raz w swem życiu pewnie stąpał. Z pochyloną głową, ze ściągniętemi brwiami, z wargami zaciętemi, zdawał się głęboko myśleć.

Po niejakimś czasie zatrzymał się przed lustrem. Długo i badawczo przyglądał się swojemu obliczu, wprost i z profilu, przybierając przytem różne miny: groźne, kamienne, majestatyczne... A czynił to z całym krytycyzmem, nie był bowiem człowiekiem próżnym ani lekkomyślnym.

— Rzeczywiście... rzeczywiście — powtórzył parę razy.

Czuł jednak na dnie wzrosłego dumą serca coś jakby wątpienie jakieś.

Podszedł ku ścianie, gdzie wisiały, oprawne w wyrzynane ramki, fotografje zbiorowe: dawniejsza — po maturze, i późniejsza — po ukończeniu seminarjum duchownego.

Na pierwszej widział podobiznę swoją, tak niepodobną do swej obecnej postaci: wyrostka przygnębionego, o wystraszonem wejrzeniu, o włosach szczeciniowatych, w źle ułożonem ubraniu...

— Kiepska fotografja — zdecydował.

O wiele lepiej wypadł ogląd podobizny drugiej.— Gładko na bok przyczesane włosy jakoteż czarne opięcie sutanny ze smużką w okół szyi białego kołnierza przydawały już postaci nieco dystynkcji. — Jednak

nie było w niej jeszcze tego, co chciał znaleźć. Twarz ułożona do pokory, w oczach przygaszone światła...

— Za mało dumy — pomyślał z niechęcią.

Dopiero trzecia, znaleziona w albumie podobizna, odpowiedziała jego intencji. Była to amatorska fotografja z majówki, z czasu, gdy już był we Wiórkach proboszczem. Na „romantycznem“ tle lasu, na spadzistym terenie gruntu rozłożona, widniała cała grupa, przedstawiciele różnych stanów w idyllicznej, można rzec: pasterskiej równości — pan aptekarz ze żoną, pan sędzia, pan poborca znany nam, nigdy niezapomniany Czapkiewicz, pan inspektor z powiatu, kilku nauczycieli i nauczycielek, jakiś wolontaryjny akademik i jeszcze parę przypadkowych osób — wszyscy w pozach siedzących i napół leżących, a *on* stał ponad nimi nad koszem próżnych butelek, stopą o jakiś pień wsparty, z założonemi rękoma na piersiach, z „wielką myślą“ w brwiach ściągniętych — istnie jako wódz nad pobojowiskiem.

Ksiądz Łopatka długo i z lubością wpatrywał się w tę podobiznę swoją. Przypomniał sobie, że widział nawet gdzieś w jakiejś książce sztych, przedstawiający Napoleona w tej samej nieomal pozie. Oczywistością zduszona wątpliwość, zgasła do iskry, jak niedopałek cygara.

— Ten Czapkiewicz... zdawaćby się mogło: myszki ma w głowie (jak z tym Mickiewiczem), a to

zgoła bystry człowiek — pomyślał z uznaniem i począł dalej krążyć wzdłuż salonu.

Dzień ów, jak snadnie domyślić się można, stał się w życiu księdza Łopatki przełomowym. W tym dniu się, można rzec, odrodził. Weszły weń, jakby za czarodziejską sprawą, siły nowe, które wywołały w jego duchu poczucie ważności siebie. Stąd — bo to już tak naturalnie szło — zrodziło się w nim przeświadczenie o wyjątkowem swojem przeznaczeniu.

Że jednak ksiądz Łopatka, jak się już wspomniało, nie był człowiekiem próżnym, a umysł miał krytyczny, przeto mimo tego przeświadczenia nachodziły go czasem myśli, któreby nazwać można niepokojem ducha. Zwłaszcza myśl jedna podstępna: „Czy to tylko nie zewnętrzne podobieństwo?“, która go uderzyła raz, gdy się po nocy obudził, nie dawała mu spokoju i zatruwała górne chwile napoleońskich nastrojeń.

Postanowił z tym wrogiem raz na zawsze skończyć. — Począł z anonsów gazet, jak i z katalogów księgarń wypisywać monografje i dzieła, traktujące o Napoleonie, i sprowadzać je sobie. Z zapartą piersią wziął się do czytania tychże. — Po jakimś czasie odetchnął szeroko. — Już niepewność zdradziecka nie może mieć doń przystępu.

Rozczytując się w biografji wielkiego cesarza, napotykał w jego życiu tyle podobieństw ze swojem — że tu nie mogło być dwóch zdań. Zwłaszcza uderzył go aż do wstrząsu jeden identyczny moment...

Gdy Bonaparte był chłopcem i chodził do szkoły wojskowej w Ajacio, często, idąc do szkoły, lub wracając ze szkoły do domu, brał u pewnej przekupki jabłka, które lubił. Nie zawsze miał grosz na zapłacenie — lecz przekupka ufała mu i borgowała chętnie, ile zechciał. Opuściwszy szkołę, pozostał jej dłużny sporą sumkę. A nie mając, by oddać, przyrzekł jej żartobliwie, że zwróci dług, gdy zostanie cesarzem. — Wkrótce los wyrwał go na długo z rodzinnego miasta, i Bonaparte, zajęty ważnemi czynami, zapomniał całkiem o swym długu. Wypadki szły, coraz ogromniejsze. Napoleon został podtenczas konsulem, później cesarzem Francuzów.

Już jako cesarz przybył do Ajacio. Gdy na czele swej świty jenerałów przejeżdżał ulicami rodzinnego miasta, przechodząc w myśli wspomnienia lat tu w dzieciństwie przeżytych, przypomniał sobie z czasów szkoły i ową przekupkę. Skierował tedy konia w uliczkę pamiętną i zatrzymał się przed straganem, który tak dobrze znał. Poznał też siedzącą za nim dobrodziejkę swoją, choć już mocno była postarzała.

— Czy mnie poznajecie, matko? — spytał cesarz.

Starowina przyłożyła dłoń do czoła i, olśniona, patrzyła na cesarza, na jego złocistą świtę.

— Co Bonaparte przyrzekł, to Napoleon dotrzyma.

Schylił się z konia i podał jej sakiewkę, pełną dukatów.

— Oddaję swój dług — wyjaśnił. — Kupcie sobie, matko, domek, aby na starość nie marznąć.

To powiedziawszy, ruszył dalej na czele swej świty.

Otoć i ksiądz Łopatka tak samo, gdy chodził do szkoły w mieście, kupował często jabłka u przekupki, która mieściła się ze swoim straganem obok żelaznej kraty, zamykającej dziedziniec gimnazjalny. Tak samo nieraz nie miał czem zapłacić, i ona borgowała mu chętnie — jak i drugim.

— Dobre to było kobiecisko! — rozczulił się wspomnieniem. Iluż to chłopcom, głodującym po stancjach, zastąpiła śniadanie lub obiad wzięta od niej na bórg bułka i parę jabłek czy śliwek. Iluż chłopcom ułatwiła w ten sposób przetrwanie najcięższych miesięcy głodu. Iluż tą pomocą uchroniła od opuszczenia ław gimnazjalnych i dopomogła im przez to „wyjść na ludzi". Była ona ważną instytucją przy tej bramie.

— Oto patrzcie — mówiła im raz (pamięta) skupionym przy jej straganie, wskazując na przeciwny trotuar uliczny. — Tam idzie radca Flig. Chudziątko to było takie mizerne, że litość brała, często u mnie, niewyczytając, borgował, i dziś jest panem radcą — mówiła z pewną jakby macierzyńską dumą. Poczem ze smutkiem dodała: — Nigdy na ten tu trotuar nie wejdzie, zawdy obchodzi tamtą stroną, wstydzi się widać tych czasów.

Zatrzymał się dłużej ksiądz Łopatka wspomnieniem przy onej bramie, bowiem, mając już umysł znużony latami, nie zawdy prosto zdążać mógł za myślą główną.

Tak więc... gdy opuszczał gimnazjum, tak samo pozostał dłużen przekupce owej sporą kwotę. I tak samo jej przyrzekł żartobliwie, że zwróci dług swój, gdy zostanie proboszczem. Potem wstąpił do seminarjum i zapomniał o długu. Lata szły — został niedługo wikarem, później we Wiórkach proboszczem. I oto teraz...

Wstał poruszony od stołu i, trąc dłonie nerwowo, począł chodzić szerokim krokiem wzdłuż salonu. — Musi postąpić tak, jak Napoleon — z równym efektem... Zatem — jął rozsnuwać w myślach — każe powóz polakierować na nowo, każe zaprząc do powozu cztery konie (tylko siwka coś kuleje — to niechże będą dwa), furmanowi sprawi krakowski strój z pawiem piórem (wystarczy pióro ostatecznie) i pojedzie do miasta... Gdy powóz będzie mijał bramę gimnazjum, krzyknie gromko na furmana: „Hou stój“... i z wysokości siedzenia spyta zdumionej przekupki:

— Poznajecie mnie, matko?

A gdy ta nie będzie wiedzieć, co ma na to odrzec, powie jej (z odpowiedniem do ważności chwili namaszczeniem):

— Przyrzekłem zwrócić swój dług, gdy zostanę proboszczem. Oto jest...

I gestem majestatycznym rzuci jej na stół wypchaną sakiewkę.

— Hm... sakiewkę — zamyślił się. — Łatwo było cesarzowi...

Cóż w tej sakiewce być może... jakie piętnaście reńskich... To jej nie zaimponuje. Trzeba inny plan wymyślić.

Krążył jakiś czas po salonie, głęboko się zastanawiając. Nareszcie doszedł... już wie! Każe narznąć indyków, gęsi, kaczek — jest tego spory szałas — naładować na wóz, zawieźć jej i zeprać pod nogi ze słowami: „To ksiądz proboszcz z Wiórek oddaje za dług“. I więcej ani słówka. Tajemniczość.

Długo znów krążył po salonie, rozkoszując się tą myślą. W pewnym momencie przystanął.

— Ba, ale co na to powie Józefina?... (Tak od czasu, gdy został w swej myśli Napoleonem, nazywał Kaśkę-kucharkę.) Tu tej rządy... Nie, trzeba inny plan wydumać — zadecydował po namyśle; i wobec ważności sprawy odłożył to na czas spokojniejszy.

Im dalej się wczytywał ksiądz Łopatka w księgi o Napoleonie, tembardziej się utrwalał w przekonaniu o swojem z nim podobieństwie i — co za tem szło — współgenjalności. Wspólnie czynił z nim dyplomatyczne zabiegi, przemyśliwał i układał plany, prowadził kampanie i wygrywał bitwy. A w tem wszystkiem, co z uznaniem dla jego indywidualności podnieść trzeba, zachował swoje własne, częstokroć odrębne

zdanie. W wielu razach nie zgadzał się z Napoleonem I. co do posunięć taktycznych — on, Napoleon II. inaczejby to wykonał — często też w decydujących momentach poprawiać musiał krok nieopatrzny Tamtego. Naprzykład w momencie owym bitwy pod Arcole, gdy się zwycięstwo przechylało na stronę Austrjaków, a Bonaparte, porwawszy sztandar cofającego się pułku, rzucił się na most z impeten i odwrócił szalę losu...

— To nie przystoi wodzowi — mówił podczas obiadu do wikarego pod wrażeniem świeżo przeczytanej rzeczy. — To mógł wykonać pierwszy skraja oficer. Wódz powinien stać na wzgórku i patrzeć na pole bitwy. Powinien mieć spokój kamienny w obliczu i wydawać rozkazy krótkie, a stanowcze.

— Zapewne — bąkał niezdecydowanie wikarjusz.

Tak samo nie był zadowolony ksiądz Łopatka z przebiegu bitwy pod Wiedniem.

— Za dużo strat — oświadczył. — Któż widział na oczach nieprzyjaciela przeprawiać się przez Dunaj. Mogli ich snadnie jak kaczki wystrzelać. Trzeba było obejść z wojskiem daleko na prawo, tam się przeprawić i zajść nieprzyjaciela od tyłu. Aniby noga nie uszła.

A kiedy czytał wyprawę na Moskwę, mało się z irytacji nie rozciskał.

— Wódz powinien przewidzieć, nie leźć w matnię.

Również ostro krytykował taktykę Napoleona w przeprawie pod Lipskiem.

— Przegrał przez swoją nieopatrzność, oto co jest — zadecydował przy końcu.

Tu trzeba zaznaczyć dla ścisłości, że Napoleon, mimo udowodnionych mu błędów, nic w oczach księdza Łopatki nie stracił. Obniżając go, temsamem obniżałby siebie. To nie było w jego zamiarze. Gdy krytykował jego błędy, chciał tylko przez to wykazać, jak *on* w danych wypadkach by postąpił.

Z dzieł przeczytanych wyniósł wielką korzyść. Zobaczył Napoleona mniej, niż się sądzić zwykło, niedościgłym, zobaczył go podległym ludzkim zawodom i klęskom — i owo „podobieństwo", ów „napoleonizm", co go tak, jako coś nadzwyczajnego, zrazu zaskoczyło, stało się teraz rzeczą daleko jaśniejszą i na krytycznych podstawach opartą. Teraz już wiedział sam ze siebie, nie od jakiegoś tam Czapkiewicza (choć to zgoła bystry człowiek, jak się okazało), co ma o tem sądzić. — Chodziłoby teraz o to, jak ludziom okazać swoją zatajoną dotąd wielkość, swoją — jakby rzec — napoleońskość.

Problem czynu...

Długo się zmagał z nim w swych myślach ksiądz Łopatka, wreszcie rozwiązał go najniespodzianiej prosto i szczęśliwie.

— To, że Napoleon prowadził wojny i bitwy wygrywał — to tylko okoliczności. Okoliczności szczęśliwe i nic więcej. Posadzić by go we Wiórkach, a widzielibyśmy, coby zdziałał. Najważniejsza rzecz —

w czem jego prawdziwa wielkość była — to postawa. Gest i postawa. O!

Odtąd ksiądz Łopatka baczył pilnie na to, by mieć wzięcie się „napoleońskie“. Sprawił sobie lakierowane buty z cholewami, sutannę kazał sobie żydowi-krawcowi przyciąć, a do szarego płaszcza przyszyć guziki błyszczące. Wychodząc z domu na spacer, brał zwykle trzcinę do ręki, którą się niedbale z miną wodza uderzać lubił po cholewie. Gdy mówił egzortę w kościele lub przyjmował interesentów w kancelarji plebańskiej, stawał w pozie wyniosłej, wysuwał nogę naprzód, zakładał ręce na piersiach i „miażdżył orlim wzrokiem“ spokojnych obywateli. Sposób mówienia przyjął gromki, stanowczy i lakoniczny.

W taki to naturalny sposób stał się ksiądz Łopatka Napoleonem. Nawet bardziej napoleońskim — w geście, postawie — niż tamten. A o cóż więcej mogło chodzić?

Niebawem zwrócił swój „orli wzrok“ na swe otoczenie. Nie może to być — sądził słusznie — żeby jego, Napoleona-Łopatkę otaczały figury pospolite, zwykłe. Jeżeli On historyczną jest osobą, to tem samem i wszyscy, którzy są w jakimś stosunku do Niego, stają się historycznymi.

Wiemy już, że kucharkę Kaśkę nazywał wdzięcznie Józefiną. Więc na furmana Maćka wołał odtąd: „Te, Ney!“, organistę ochrzcił Talmą, jako że miał miłe podrygi przy ukłonie, a zaś kościelnego, starego

dyplomatę, Taylerandem. Malarz Rączka, który pod ten czas malował był właśnie zakrystję, został nadwornym Davidem.

I słusznem było wprowadzenie do historji tych osób. Wprawdzie Maciek-Ney był głupi, a Józefina, jak wszystkie zresztą Józefiny, była swarliwa, zazdrosna i nielogiczna w sądach, lecz organista-Talma, malarz - David, zwłaszcza kościelny - Taylerand, byli to zgoła niepospolici mężowie, warci monografji osobnych.

W otoczeniu tych już odtąd historycznych osób ksiądz Łopatka-Napoleon wzniósł się jeszcze, ile to możliwem było, w swem samo-napoleońskiem poczuciu. Już nie był we Wiórkach proboszczem, lecz władcą. — Wszystkie też rzeczy naokół urosły, przybierając barwę historyczną. Gminy, do parafji przynależne, stały się departamentami, kościół parafjalny katedrą, a plebania Wersalem.

Pewnego dnia wezwał do siebie Davida. Kazał mu robić swój portret. Ten się wymawiać począł, że „dotąd z natury jeszcze nie próbował!" — nic nie pomogło.

— Zrobisz mnie tak, jak stoję — przybrał odpowiednią pozę. — Widziałeś Napoleona?

— Nie.

— To się przypatrz — wskazał majestatycznie na otwartą księgę.

Malarz przyjrzał się kolorowej odbitce — poczem przeniósł wzrok na księdza. Bystry to był człek. Już zrozumiał.

— Trochę w szczegółach inny, ale o to mniejsza. Będzie portret, jak odlał. Powiększy się tylko odpowiednio...

— O — właśnie — powiększyć trzeba odpowiednio...

Omówiono kwestje: płótna, farb, rozmiaru, i oznaczono termin posiedzenia.

— Choć jabym wolał to u siebie w domu... bez utrudzania księdza proboszcza — wyraził życzenie David. — Czy możnaby tę odbitkę wyciąć?

— Owszem, można, jeśli rzecz tego wymaga. Ale robota u mnie w gabinecie — i w obecności mojej. To warunek.

Nie opuszczał się ksiądz Łopatka na pojętność malarza, choćby to był i David. I, jak się pokazało, miał uzasadnione racje ku temu. Któż wie, jakby był portret wypadł, gdyby nie jego osobisty dogląd i kontrola. To nos się okazał za mały, to czoło za niskie, to znów podbródek za wielki, i wiele jeszcze innych nie mniej poważnych uchybień. Wszystko to musiał malarz za jego wskazówkami zmieniać, ujmować lub dociągać, jak z orzeczenia wypadło. — Tak Napoleon poprawiał Davida.

W czasie całego ciągu malowania, a trwało ono dość nie krótko, gorączkował się ksiądz Łopatka —

nieraz obiadu nie skończywszy, wołał przez sień w stronę kuchni, gdzie było państwo Józefiny:

— Niech się stawi mój nadworny malarz! Będziemy kontynuować portret.

Ostatecznie pod jego genjalnym wzrokiem i przy pomocy pomiarki tak bądź co bądź wytrawny artysta jakim był David wkroczył wreszcie na tory właściwe, t. zn. zbliżył się do ideału odbitki.

Za jakiś czas „odpowiednio powiększony Napoleon“ w grubych pozłacanych ramach zawisł naprzeciw lustra w salonie. Uszczęśliwiony ksiądz Łopatka, zawołał Józefinę i jął pytać, co sądzi o portrecie.

— Już mam tego portretu dość! — wybuchła potokiem słów. — Od trzech miesięcy nic i nic, ino o tym portrecie. Żeby to choć co godnego...

— Głupiaś.

Posłał po Tayleranda.

— Kto to jest? — wskazał malowidło.

Taylerand nie zaraz odrzekł, zastanawiał się, kombinował.

— Jakiś jenerał ma być — osądził w końcu.

— Osioł jesteś, mój Taylerandzie. Zawołaj mi tu Talmę.

Talma, który z Davidem żył w przyjaźni, wiedział już coś o tem. I na pytanie: „Kto to jest?“ odrzekł bez namysłu:

— To jest ksiądz jegomość Napoleon.

— O, widzisz Taylerandzie, jakóbinie stary, Talma odgadł odrazu. A podobieństwo?

— Jak odlał.

— Wcale rozumny jesteś, Talmo; muszę ci pensję podnieść.

Odtąd ksiądz Łopatka mógł się rozkoszować w sercu, godzinami wpatrując się w „swój portret".

— Dałoby się jeszcze — zauważał — nie mało zarzucić, ale o szczegóły podobieństwa mniejsza. Główna rzecz: gest, postawa. Oto co jest.

Dotąd miał tylko poczucie swej napoleońskości, a teraz oto widzi siebie.

— Portret nie śmie mylić — zapewniał się.

Spływały też nań, możnaby rzec, z tego portretu nowe siły, ambicje nieograniczone i oczywistość potęgi. Majestatem napełniony, kroczył dumnie po swych „apartamentach wersalskich", a uderzał w jego postaci z daleka główny atrybut wielkości: gest i postawa. Od czasu do czasu wyrzucał z zaciśniętych ust rozkazy krótkie i stanowcze. Naprzykład: — Niech się stawi przedemną prefekt departamentu Koninki (to niby wójt z Koninek) dla zdania mi rachunków konkurencji kościelnej.

— Malarzowi Davidowi wydać z kasy pięć złotych forszusu.

Albo:

— Zawołać mi Tayleranda; chcę z nim omówić kwestję odpustu.

A widzieć go naprzykład wtedy, gdy stanąwszy na ganku wołał ku stajniom:

— Te, Ney! Dałeś koniom owsa?! — lub jak grom krótko: — Zaprzęgać!

Albo przez sienie w stronę apartamentów niewieścich:

— Józefino! Nakryj do obiadu!

Tak mógł tylko rozkazywać Napoleon.

Kazania jego były zwięzłe i apodyktyczne, jak odezwy do narodu. Od czasu do czasu wygłaszał też z ambony nadsyłane mu wojenne manifesty Centrum.

I nicby nie zamącało pewności jego umysłu i wysokiego nastroju, gdyby nie koalicja — jak nazywał dekanat, konsystorz i inne duchowne potęgi. Mimo, że gromił w odezwach swoich jakóbinizm, koa'icja nie dawała się tem zwieść, lecz następowała nań coraz to zawzięciej. Nasyłała komisje, żądające rozwodu z Józefiną, wyrzeczenia się władczej chimery, trzymania się przepisów kanonnych itp. Bronił się zacięcie, używał wszelkich dyplomatycznych wybiegów, w dyskursach z księdzem wikarym pokonywał swoich przeciwników — jednak koalicja rosła w siłę i spać mu nie dawała.

Aż przyszło jego Waterloo...

Nie koalicja je sprawiła, choć pośrednio przyczyniła się do tego przez zmącenie bystrości jego umysłu, lecz przypadek. Taki sam przypadek, jaki przywiódł do upadku Napoleona,

Wiadomo: Napoleon upadł z przyczyny kapliczki. Było to tak:

Już wiele godzin trwała bitwa koło wsi Belle-Alliance, a żadna ze stron walczących nie mogła uzyskać decydującej przewagi. Napoleon, naciskany przemożnemi siłami sprzymierzonych, wytężał cały swój genjusz, aby rozerwać pierścień wojsk nieprzyjacielskich. Losy się długo ważyły. Wreszcie udało się wysiłkom Napoleona przełamać szeregi pruskie. Zwycięstwo zdawało się chylić ku Francuzom. Napoleon, stojąc na wzniesieniu w otoczeniu adjutantów (jak przystało na wodza, podług słów księdza Łopatki), śledził orlą uwagą przebieg walki. Jeszcze jedno posunięcie, jeden wysiłek — i zwycięstwo. Aliści podniosła się mgła dymu z równiny i odkryła lśniący łan piechoty angielskiej, ustawionej w czworobok. — Pułki te nadeszły pod mgłą w czasie bitwy i nie brały dotąd udziału w walce. Napoleon jednym rzutem oka ocenił ważność chwili.

— Ten czworobok mi złamać! — cisnął rozkaz dowódcy kirasjerów, których oszczędzał dotąd, by ich rzucić na szalę w decydującym momencie.

Runęły pułki niezłomne... Zrazu jak lawina śnieżna — rosły w wicher, w miarę, jak się po pochyłości terenu zbliżały ku równinie.

Napoleon przyłożył szkło do oczu i z zapartym oddechem śledził ich pęd. Nagle zwrócił się do mar-

szałka Neya, który zdejmował przed rozpoczęciem bitwy plan terenu.

— Co tam ta kapliczka znaczy? — rzekł, wskazując biały punkt na pochyłości, ku któremu właśnie zbliżała się w najwyższym rozpędzie chmura kirasjerów. — Ta kapliczka stoi tam nie bez przyczyny...

Wyjaśniła się rzecz sama wcześniej, niż Ney mógł znaleźć odpowiedź.

Oto, gdy chmura jazdy zrównała się z białym punktem, zniknął pierwszy szereg, drugi, trzeci... i znikały dalsze, jakby ich ziemia pochłaniała.

Napoleon zbladł — zrozumiał.

Tam był wąwóz głęboki, niewidoczny ze wzniesienia, przecinający pochyłość. Nim się końmi i ludźmi wypełnił, chmura stopniała o trzecią część. Reszta przejechała po tym moście krwawym, pognała dalej ku równinie. Lecz już, osłabiona w pędzie i w swej masie, nie zdołała złamać czworoboku. Przyszło następczo Waterloo...

Kapliczka więc była przyczyną, która sprawiła upadek Napoleona. Gdyby był tę kapliczkę wcześniej zauważył i zbadał, z jakiego powodu tam stoi, nie byłby posyłał swych decydujących pułków na stracenie. Lecz już zapóźno ją spostrzegł — zapóźno było wstrzymać wicher jazdy.

Prosty przypadek.

Co spotkało Napoleona, mogło spotkać i księdza Łopatkę. Tak się też istotnie stało.

Było to podczas żniw. Zwożono z pola jęczmień do stodoły. Zrazu robota szła powoli — jak na plebańskiem. Lecz na odwieczerz przyspieszono pracę i nawet gorączkowo zaczęto się uwijać, gdyż burza nadciągała.

Sam ksiądz Łopatka, zbudzony odgłosem grzmotu z drzemki poobiedniej, objął dowództwo nad zwózką. Rozkazy jego gromkie i stanowcze ujęły popłoch w pewien ład i nadały robocie tempo bojowych poruszeń. Widać go było, jak stał przy zrzucaniu snopów z wozu na progu boiska i do taktu podawania na stóg wycinał krótko: „raz, dwa — raz, dwa“, a potem, gdy zawracano w pole, wskakiwał na wóz i, stojąc niby na rydwanie (widział podobną nawet na sztychu apoteozę Napoleona), przynaglał Maćka-Neya do pośpiechu.

Zwieziono już kóp sporo. Wzięto właśnie przedostatnią kopę, gdy burza się zbliżyła. Jeszcze pozostała jedna. — Ksiądz Łopatka w gorączce bojowej sam własnoręcznie pomagał zrzucać snopy na boisko.

— Śpieszcie się! — wołał! — Jeszcze ta ostatnia kopa i zwycięstwo!

Gdy zawrócono, wskoczył na wóz, jak uprzednio i popędził furmana co duchu. Burza tuż-tuż wisiała, jeno spaść ulewą...

— Jedź na przełaj — krzyknął ku woźnicy.

Maciek też skręcił z drogi i wziął się na przełaj

przez pole. Pole w tej połaci spadziste było — konie ruszyły wartko. Wóz podskakiwał po zbrużdżeniach gruntu. Nie dbał na to ksiądz Łopatka — stał bohatersko na wozie, przytrzymując się dłonią letry i śledził oczyma pilnie postęp chmury. To samo zapewne czynić musiał woźnica — gdyż nagle ksiądz Łopatka, pojrzawszy przed się, krzyknął:

— Ney! Nie widzisz ośle... kapliczka!

Lecz już zapóźno było wstrzymać konie nad krawędzią wąwozu. Runęły przedniemi nogami w urwisko, pociągając wóz za sobą.

Szczęściem jar nie był głęboki. Skończyło się na tem, że się woźnica trochę potłukł, konie wyszły z okaleczeniami. Ale ksiądz Łopatka, skoczywszy w krytycznym momencie z wozu, złamał nogę.

Odniesiono jęczącego w czasie ulewy i grzmotów na plebanję. Poczem za poradą wezwanego z miasteczka lekarza przewieziony został do szpitala.

Tu dopiero, po założeniu mu opatrunku i uśmierzeniu bólu, mógł objąć myślą spłoszoną obraz i znaczenie nieszczęśliwego wypadku.

— Jazda po pochyłości... Zagapienie się Neya... Wąwóz przecinający... Kapliczka...

Niby piorun, przeleciał nagły wstrząs przez jego umysł...

— Ten wąwóz... ta kapliczka!... Rzecz oczywista: Waterloo...

Jeżeli odtąd oddzielał jeszcze w myślach lub w uczuciu postać tamtego od siebie, to teraz poczuł się zajedno z nieszczęsnym Napoleonem. Nieszczęście bowiem jednoczy.

— Gdybym był tę kapliczkę wcześniej zauważył... nie opuszczał się na Neya... Lecz widać tak chciał los.

— Przypadek, mówicie panowie? — zwracał się w majestacie swej klęski do lekarzy. — Tak, zapewne... Lecz czy panowie zdajecie sobie sprawę jasno z wagi owego przypadku? Z jego następstw i skutków na przyszłość?... Oto, gdyby nie ta kapliczka, mapa Europy inaczejby wyglądała. — Czemże jest inny przypadek od losu? Musiało przyjść nasze Waterloo — i przyszło.

— Jesteśmy oto na Elbie — mieszał następstwa aktów. — Koalicja tryumfuje. Lew upadł. Komisje obradują, wzywają świadków, śledztwa... Taylerand, szelma, zdradzi. Biedna opuszczona Józefina... Ale tryumf przedwczesny! — wołał z patosem. — Lew się jeszcze podźwignie. Zobaczą wkrótce jego groźną grzywę, jego nieulęknioną królewską postawę. Zadrżą zdrajcy sprzedajni!

Lekarze potakiwali i, kiwając głowami znacząco, zapisywali sobie jego ważne słowa.

— Dziwna rzecz — zauważył któryś. — Prosty upadek i takie oto następstwa...

— Następstwa nieobliczalne! — przydał, zasłyszawszy uwagę ksiądz Łopatka. — A wszystko to z przyczyny kapliczki.

— O, gdyby nie ta kapliczka! — wzdychał często — mapa Europy inaczejby wyglądała.

Wkrótce, dzięki zabiegom lekarskim, noga się wygoiła, i ksiądz Łopatka, aczkolwiek uchromujący jeszcze na tę nogę, mógł już opuścić szpital — czyli raczej „wyspę Elbę“, jak się wyrażał. — Równocześnie odeszła też odpowiednia opinja lekarzy do konsystorza.

Wróciwszy z „Elby“ do Wiórek, ksiądz „Napoleon“-Łopatka zastał rujnację w swym „Wersalu“: biurka poodmykane, księgi porozrzucane, ważne zapiski historyczne zniknione — widocznie koalicja przez szpiegów swych tu pracowała. A nie zastał już biednej Józefiny, która zabrawszy na pamiątkę wiele rzeczy drogich, nie czekając wyroku komisji koalicyjnej, progi wersalskie opuściła.

Ksiądz Napoleon-Łopatka zrozumiał rzecz i wpadł we wściekłość. Tayleranda napędził z urzędu, Talmę usunął z kościoła, a za zdrajcą Davidem, który, jak się okazało, wyjechał razem z Józefiną, wysłał gończe listy. To zarządziwszy i połamawszy kilka krzeseł w dodatku, opadł ciężko na fotel.

— Oto są skutki przegranej — rzekł do portretu. — Lecz my się jeszcze podźwigniemy! Nie poddamy się słabości. Poczują jeszcze wrogowie moc naszą!

W najbliższą niedzielę wygłosił piorunującą mowę do narodu. — Wskazał na niebezpieczeństwo inwazji wroga i na słabość wewnątrz państwa. Oto zdrada jest dokoła! dowodził. Zdrajcami jest otoczony zewsząd. Napędzeni Talma i Taylerand schronili się pod opiekuńcze skrzydła sprzymierzonych — prefekci departamentów jawnie znoszą się z koalicją — a nawet współwładca wikary spiskuje potajemnie.

— Obywatele! — wołał. — Musicie odeprzeć te zakusy wrogów, wytępić zdradę jawną i tajemną, dać prawdzie oręż do ręki. Stańcie odważnie, jak jesteście wszyscy — a z taką armją waleczną przejdę śmiało te Alpy fałszu — i zwyciężę!

Nastała potem przez kilka dni cisza. Koalicja coś ważnego knuła. Wnioskował to z różnych oznak: jak z wyjazdu księdza wikarego, z wezwań prefektów do władzy, z powoływań różnych świadków jego przemowy w kościele itp.

Aż nagle dnia jednego po południu, jak grom z jasnego nieba, spadło nań: zasuspendowanie. Tak z urzędu proboszcza, jak i z obowiązków księdza.

— Oto jest teraz właściwe Waterloo — zobaczył jasno. Nie widząc innej rady, zdał się na łaskę-niełaskę księdza dziekana, najbardziej zawziętego z członków koalicji... i ten go zdradził. Udał współczucie, litość — i podstępnie zawiózł go na „wyspę Świętej Heleny“.

Tu na tej posępnej „wyspie“, wśród otoczenia murów, strzeżony pilnie przez lekarzy i całą „kompanję szpiegów“, przeżywał ksiądz Łopatka-„Napoleon“ sen swej minionej potęgi. Znosił dumnie swój los aż do końca. Jedno tylko westchnienie wyrywało się czasem z jego piersi:

— Gdyby nie ta kapliczka...

Zemsta malarza.

Komitet parafjalny w Niedźwiadzie zgodził się wreszcie po długich uradach na oddawna przez księdza proboszcza podnoszone życzenie: żeby odmalować kościół.

Kwestję funduszów, która była jedyną przeszkodą projektu, udało się załatwić pomyślnie. Po obliczeniu groszy ze składek kościelnych, pozostałości ze światła, jakoteż ofiar Braci i Sióstr różańcowych okazała się wcale spora suma. Resztę przypuszczalnych kosztów postanowiono rozłożyć, podług konkurencji, na gminy.

Do parafji niedźwiadzkiej należało gmin cztery: Podobin, Łostówka, Glisne i Jasionów.

Przedstawiciele tych gmin, uczęstowani winem przezornie przez księdza proboszcza, nim posiedzenie zaczęto, okazali się dziwnie ustępliwi. Jedynie wójt z Jasionowa, który się był spóźnił, wystąpił przeciw „ciężarom, składanym na gminy", ale jego głos jeden nie mógł przeważyć większości. Projekt został uchwalony.

Zaczem ksiądz proboszcz z Niedźwiady wdrożył poszukiwania za odpowiednim malarzem.

Nastręczali się różni, ale żadna z tych ofert nie nadawała się do poważnego traktowania. Albo ceny były zbyt wysokie, tak, że kościół za nie, podług zdania proboszcza, możnaby było wystawić, albo znowu zbyt niskie, tembardziej nie zbudzające zaufania.

Aż wreszcie trafił się malarz odpowiedni. Polecał go sam ksiądz prałat, z miasta, gdzie mieściły się władze konsystorjalne. Ksiądz proboszcz pojechał umyślnie na miejsce, aby się z owym malarzem rozmówić.

Już mu się z pierwszego widzenia spodobał. Gdy mu bowiem wyłożył, o co chodzi i zapytał go w końcu, czy się może podjąć sam takiego zadania, on wcale się tem nie zaalterował, lecz, jakby szło o rzecz bagatelną, odrzekł z niedbałością pewną, w czem taiła się i skromność artysty i pewność swojego fachu:

— Czemu nie. Zrobi się. Malowało się różne rzeczy...

Miał zaś ten sympatyczny, jaki mają dzieci miast i ulicy, akcent mowy, który przecina wszelkie wątpliwości.

Na nieśmiałe zapytanie księdza, jaką cenę stawiałby za odmalowanie całego kościoła łącznie z zakrystją, odrzekł z prostotą:

— To... jak zwyczajnie — od metra. Obraz jak przyjdzie na ścianę lub sufit, to osobna dopłata; ołtarze też.

I w tem więc okazał się fachowo-umiarkowanym, nie jak oni artyści wyniośli, którzy sami nie wiedzą, co cenić, albo też sumy bajońskie stawiają.

Najbardziej przypadło do gustu księdzu to „od metra“.

— To rozumiem — przychwalał. — To jest rzecz konkretna. Przynajmniej będzie można na czemś realnem się oprzeć.

Uszczęśliwiony, wrócił do Niedźwiady i zdał komitetowi kościelnemu sprawę ze swoich przedwstępnych kroków. — Nie było to wprawdzie jego obowiązkiem, lecz, jako psycholog, świadom rzeczy ludzkich i słabości, mniemał przez to większe zainteresowanie wzbudzić dla sprawy projektu w komitecie, a tem samem i zbieranie funduszów ożywić.

Istotnie, dobrze przewidywał. Komitet z zaciekawieniem słuchał jego relacji, lecz w momencie najważniejszym, który zostawił sobie był na koniec, to jest, że malarza ugodził „od metra“, podniosły się z łona komitetu niejakie wątpliwości.

— Czy to aby nie oszukaństwo? — mówiono. — On wam może nic na tym metrze nie wymalować, ba jeno szczotką maźnie, a porachuje meter.

Uwaga ta zaskoczyła księdza, lecz rychło znalazł na nią odpowiedź dowodną.

— Mniej będzie malunku na ścianach, to mniej farb wyjdzie; a tak się koszta zrównają. Zresztą, naprzód pomiarkuje się plan, czyli postanowienie, co

i jak gdzie ma być, i malarz musi się tego planu trzymać.

Zmilkły zatem już głosy wątpiące. Podziękowano księdzu za trud podjętych zabiegów i w kwestji zebrania potrzebnych funduszów przyrzeczono chęć szczerą: tak Niedźwiada, Glisne, jak Łostówka, jak i Podobin. Tylko z Jasionowa nie było wójta na zebraniu.

Zjawił się w któryś dzień nareszcie malarz oczekiwany. Jako mistrz wiódł ze sobą dwóch uczniów-pomocników.

Rozłożył się taborem na organistówce — i, nie odwłócząc, poszedł z księdzem proboszczem oglądnąć teren pracy.

Zaniedbane wnętrze drzewianego kościoła przedstawiało się dość smętnie. — Jeszcze wdzięczył się resztką pozłoty ołtarz główny z dwoma świętymi biskupy po bokach, jeszcze znać było na ścianach i suficie spełzłe fragmenty dawnych malowideł, lecz bieg czasu, postępowa praca kurzu jakoteż sparnia westchnień wieloletnich uczyniły swoje.

Zobaczył to ksiądz wyraźniej, niż kiedykolwiek dotąd, i uczuł się, jako gospodarz tego domu, zażenowany niejako wobec krytycznych spoglądań malarza.

— Kościół stary — począł się tłómaczyć. — Już pamiętnika niema w parafji, kiedy malowany. Jeszczeby się było lepiej wnętrze zachowało, tylko kiedyś

tam dach przegnił, niedbano poprawić i w czasie deszczu przeciekało. O — wskazał na kąt sufitu, gdzie znać było ciemne zbróżdżenia wilgoci.

— Fi! ornament — poświadczył malarz ze znawstwem.

— Była myśl o budowie nowego kościoła, ale na razie trudno o tem marzyć — tłómaczył dalej. — Gminy oporne. Cóż robić. Jeszcze ten potrwać musi, żeby go tylko ze środka do możliwego stanu doprowadzić.

— Doprowadzi się — orzekł pewnie malarz.

Ksiądz uczuł wdzięczność w sercu za to upewnienie.

— Bo widzi pan — zwierzył się — spodziewam się niezadługo wizytacji biskupa. Rozchodzi się więc o to... — Rozumiem. Będzie, — przeciął malarz z akcentem roztrzygającym. — Fredek! Meter! — zaświstał na pomocnika. Słówek wiele mistrz nie lubił.

Począł rozmierzać długość ścian, a ksiądz proboszcz człapał za nim z całą powagą, odpowiednią chwili, i zrozumiałem uznaniem.

Po ukończeniu tej czynności, mistrz stanął na środku kościoła, puścił oko doświadczone w tę i ową stronę... — Okna wybywają, drzwi... — porachował w myśli, i spokój wybił się na jego obliczu. Już wiedział wszystko, co trzeba. Zagwizdał sobie z lekka, poczem splunął kunsztownie daleko przed siebie.

Proboszcz, śledzący pilnie te wdzięczne mistrza manewry, nie mógł się oprzeć ciekawości, by nie zapytać: jaki projekt odmalowania mistrz zamyśla?

— Zwyczajnie... — odrzekł tenże. — Dołem ciemna opaska na meter, górą listwa. Ściany: kolor jasny; zlekka różowy albo popielaty — od gustu. Koło okien da się obramienia. Koło lichtarzy na ścianach — wianuszki. Tęczę zrobi się w kolorach.

Ksiądz już widział wyobraźnią kościół rozjaśniony i uśmiechał się w duchu do tego widoku.

— A na suficie? — spytał.

— To — do woli. Można zrobić strop niebieski z gwiazdami lub...

— A naprzykład figury?

— Figury też.

— Bo koniecznie by wypadało — dowodził ksiądz — żeby na suficie był wymalowany patron parafji, św. Sebastjan, patrzący z góry na powierzonych swej opiece ludzi.

— Wymaluje się patrona.

— A także Bractwo różańcowe wyraziło przy składkach życzenie, żeby był obraz Matki Boskiej różańcowej, która łaski swe zlewa na wszystkie gminy parafji.

— Zrobi się podług życzenia.

Mówił tonem, z którego snadnie widać było, że mu to nie cudne.

— A jakże z ołtarzami...

— Ołtarze: bordo, miejscami pozłótka. Gustownie.

— Czy pozłótka nie zadroga? — zawahał się ksiądz.

— Da się cienko. Imitacja.

— A tak, to co inszego...

I na tem się konferencja zamknęła.

Przez dni następne i dalsze stuk miły uszom rozchodził się po kościele: ustawiano kobylice i rusztowania.

Wieść o tem poszła szybko po wszystkich gminach parafji. Podniecenie, udzielane z ust do ust, zataczało coraz szersze kręgi. Ciekawość rosła. Niejedni z osiedli dalszych stwarzali sobie umyślny interes do Niedźwiady, aby wstąpić pod dzwonnicę i zobaczyć naocznie, co się to tu robi, jak się to ten kościół maluje. — Zdziwieni byli, niektórzy rozczarowani, że spotykają tylko rusztowania i nic poza tem.

A rusztowania rosły w górę.

Wielom się to nie widziało.

— Poco to tyle przysady, jak w jakiej fabryce? — mówili. — Przywiązałby se szczotkę na kiju i dostałby ślebodno, gdzie by chciał. Ale to wszystko na to jeno, coby drożej wyciągnąć.

Wielu znów przyjaźniło się życzliwie z malarzem; jedni w nadziei, że im obraz jaki święty namaluje; drudzy, by mieć protekcję i dostęp za kulisy

z desek, czego surowo wzbroniono; inni wreszcie z czysto idealnych pobudek: że się warto z takim dziwo-człekiem zapoznać, co to ani sieje ani orze, ani pracuje w pocie, jak drugi, ino talantem Boga i ludzi okpiwa.

Mimo, że zaciekawienie rosło, a może właśnie dlatego, sarkania się już tu i ówdzie (zwłaszcza przy wybieraniu składek) podnosiły: że już naród dość ofiar na to malowanie poniósł, a nie widać dotychczas nic z tego.

— Rusztowań nastawiali, i po wszystkiem. Malarz se żyje, ksiądz z nim razem — a ty narodzie płać.

Zwłaszcza z opodalnego Jasionowa, który się najmniej przyczynił do składek, podobne głosy dochodziły.

Rusztowaniami rzeczywiście cały kościół był już zastawiony. Gdy ukończono wstępne prace, zgłosił się malarz do księdza proboszcza z żądaniem: tyle a tyle metrów płótna — wyszczególnił podług rozmiaru ścian — i tyle a tyle (oznaczył już mniej więcej) cebrów mleka.

— Prawda! — uderzył się ksiądz w czoło, zaskoczony pilnością żądania. — Na śmierć o tem zapomniałem. Przecież to płótna i mleka potrzeba.

— Toli że trzeba. Bez poklejenia ścian płótnem, na nic robota. Szpary widoczne.

— Cóż zrobimy? Juści do gmin trzeba się odnieść, niech złożą. Jest pięć gmin w parafji...

Obliczono wnet podług ilości metrów, ile na każdą gminę przypadnie dać wałków płótna i ile — mniej więcej — cebrów mleka.

Komitet kościelny, wysłuchawszy wywodów księdza, który malarza zawezwał dla dowodu konieczności tych materjałów, zgodził się rad nie rad na tę konsekwencję swej pierwszej uchwały i zwrócił się do zwierzchności poszczególnych gmin z oznaczeniem tych składek w naturze.

Podniosły się na to pomruki i sarkania głośne między ludem. Zauważono, że płótno w tych czasach drogie, mleka mało — ale ostatecznie wszystkie cztery gminy, t. j. Niedźwiada, Podobin, Glisne i Łostówka zgodziły się złożyć przypadające na nie z obliczenia miary; tylko jeden Jasionów nie przystał.

Gmina Jasionów, najdalej od kościoła położona, wciśnięta w wązką roztokę między dwie ubocze, żyjąca życiem własnem, zabita, jak to mówią, deskami od świata, odnosiła się z konsekwentną opozycją do wszelkich nowości, wszelkich zarządzeń: czy to Rady szkolnej, Wydziału powiatowego, czy starostwa. We wszystkich innowacjach: czy to był przymus szkolny, czy nakaz usunięcia nawozu z przed domów, widziała rzeczona gmina tylko „ciężary“, „pańszczyznę“ i chytry zamach na chłopską swobodę. Z godną podziwu upartością broniła się tym „zakusom władz“.

Gdy z komitetu kościelnego przyszło do gminy Jasionowa oznaczenie, że tak a tak, tyle a tyle ma

dać płótna, mleka — wójt, solidaryzujący się w takich razach z gminą, zwołał niezwłocznie w tej sprawie posiedzenie rady.

Skoro wyłuszczył zebranym, o co chodzi, w izbie obradnej zawrzało.

— Co? płótna? mleka?! Coż sie temu malarzowi i księdzu razem przyśniło? Mlekiem będą malować kościół?

— Tyle cebrów!

— Kąpać sie chyba chcą w tem mleku.

— Dobrze, że jeszcze śmietanki nie każą dawać.

— A na coż zaś to płótno?

— Malarzowi na gacie — szydzono.

— Coż mu po tylu wałkach?

— Malarz filut, księdza cygani, podszeptuje mu, co mu się jeno zabaży, a ksiądz wierzy okpisiowi.

— Hej. Mleko odstawi żydom, płótno przeda, a ty narodzie złóż.

— To jeszcze mało tych składek? Dziesięć kościołów by już pomalował za to!

— Hej. A tu ani kreski dotąd.

— Ino „daj i daj!“ wołają. Kiedyż sie to do sto djabłów skończy?

— I-aż parafję do nędzy przywiodą...

— Do ostatniego upadku!

Postanowiono jednomyślnie, że ani łokcia płótna, ani kwarty mleka gmina Jasionów nie da. Do tej odmowy dołączono jeszcze takie pouczające pod adre-

sem księdza i komitetu kościelnego zdania, że już wójt, mający zanieść uchwałę, wagował się je dodawać.

Skoro ksiądz proboszcz dowiedział się o odmowie Jasionowa, pobiegł niezwłocznie do malarza, aby mu tę przykrą i oburzającą wieść zakomunikować.

Zastał go w kościele, gruntującego z namaszczeniem płótno. Przyjął spokojnie wiadomość. Lecz, skoro mu ksiądz powiedział, że i jego, malarza, przy tej okazji zaczepiono, zarumienił się gniewem — uczuł się w swym honorze artysty obrażony.

— Jasionów. Dobrze — zanotował sobie.

Ksiądz począł się zastanawiać głośno nad sposobami ukarania nieposłusznej gminy. Dumał odnieść się do starostwa, to do Wydziału Rady powiatowej, sprowadzić sekwestr na opornych; te i inne obmyśliwał kroki.

— Niech to ksiądz mnie pozostawi — ozwał się z przekonaniem malarz. — Już ja coś dla Jasionowa obmyślę.

To rzekłszy, począł sobie gwizdać zcicha, co miało być oznaką pewności, że zemsta już jest sprawą jego.

Ostatecznie brak materjału, wynikły z odmowy Jasionowa, załatwiono w ten sposób, że gminom chętnym dołożono jeszcze w arkuszu konkurencyjnym po jednym wałku płótna, a co do mleka, o które było trudniej, to ksiądz od siebie ofiarował kilka udojów wieczornych.

Malarz zabrał się z pomocnikami swymi energicznie do pracy. Płótno, pocięte na pasy, wnet zasłoniło szpary i nierówności drzewne, a mleko zmyło brud ze ściennych płazów i dało podkład jednotonny pod gotowiznę farb.

Malowanie się rozpoczęło.

Organy na długi czas zamilkły.

Msze odprawiały się ciche, przy bocznych ołtarzach.

Lud, pod niskiemi powałami wśród gęstych belek i stolców rusztowania, gromadził się podczas nabożeństwa, jak w katakombach.

Szepty ciekawości szmerzyły, jak woda, w mrocznych piwnicach rusztowań. Oczy, zostrzone mrokiem, przebijały deski, by zmiarkować, co się tam poza niemi dzieje, jakie misterja tajemnicze.

Za jakiś czas dało się oczom zciekawionym dojrzeć przez rozchyl desek jakiś szczegół malunku —: to obramienie świecznika na ścianie, to kawałek listwy barwnej; tedy wydawało im się, że dojrzały strzępek ogrodu rajskiego.

Niecierpliwość z dnia na dzień wzrastała. Ktoten, korzystając z odemkniętych drzwi, wsuwał się o późnej porze do kościoła i, stanąwszy w cieniu belek, zachwytywał przynajmniej głosy pracujących; potem, wyszedłszy, rozpowiadał z dumą, że widział samego głównego malarza przy robocie, że jest już koło tęczy.

Wesoły to był artysta ten nasz malarz. Pracując, nucił sobie oderwane piosnki lub wygwizdywał kunsztowne arje, co pracy jego, niewidocznej dla oka śmiertelnych tem większą nadawało tajemniczość i jakiś — rzec-by można — niebiański koloryt.

Najweselej pracowało mu się u sufitu. Dołem, niby w mrocznych sieniach lasu, odprawiała się msza święta, lud się modlił i kajał, a on sobie nucił gdzieś w górze beztroskliwie, jak skowronek w błękicie.

Nie wiedział, nie przeczuwał zgoła Jasionów przyziemny, że on tam w wysokościach, nucąc, w skrytości serca obmyśliwał zemstę. — Malował właśnie Matkę Boską różańcową; gdy pomocnicy złocili za jego wskazaniami ołtarz.

Długo trwało to malowanie. Aż się i niecierpliwość parafjan stępiła. — Ludzie przywykli zwolna do tych katakumb rusztowań. Wielom wydawało się, że tak było od czasu i że ostatecznie tak mogłoby pozostać. — W takim kościele jakoś śmielej się grzeszne serca czuły: Bóg zdawał się tu nie taki groźny, wyniosły — pośród nieheblowanych desek, prostych belek trudno Mu było utrzymać Swój majestat. — A nawet niektórym przychodziło do głowy, że tu ksiądz jeno markuje prawdziwą mszę, że tu Pan Bóg nie schodzi, że opuścił na tymczasem kościół, nim się malowanie skończy.

— Gdzieżby taka Osoba najwyższa wśród tych rusztowań się tłukła. Tu-byś mógł śmiało kogo-tego

pięścią w łeb łupnąć, jak w szopie, albo na boisku. Lęku żadnego nie widać.

Zaś drugim wydawało się, że właściwe niebieskie sprawy tam się dzieją — ponad rusztowaniem, przy malarzach; tam fruwają anioły, odbiorce modłów ludzkich; tam są święte Osoby — — i czekali z utęsknieniem serc pobożnych, kiedy te rusztowania spadną, iżby się mogli znaleść w obliczu jasności Boskiej.

Nareszcie doczekali się, że się malowanie ukończyło. Postanowiono odsłonić malowidła na święto Matki Boskiej różańcowej.

Na trzy dni przed tem świętem zamknięto dla ludu kościół — msza się nie odprawiała — pracowali tylko cieśle i ich pomocnicy: zrzucano i usuwano rusztowania.

Lud czekał w najwyższem napięciu ciekawości na odsłonięcie...

Gdy w oznaczone święto otwarto kościół i uderzono w dzwony, lud, zgromadzony liczniej jak na odpust, wpłynął potokiem do wnętrza, zajmując całą przestrzeń widną, wypełniając ją po brzegi.

Wszystkie oczy poczęły obiegać po ścianach, wieszać się u sufitu. Rozchodziły się szepty podziwu, półgłośne uwagi — wesele świeżych barw odbijało się w oczach i twarzach zebranych.

Ksiądz, przyodziany w nowy ornat, wyszedł przed ołtarz ze sumą.

Organy, dawno niesłyszane, poczęły buczeć przeciągle.

Teraz, w czasie modłów mszalnych, ludzie, mając czas, gdy wrażeniu pierwszemu stało się już zadość, poczęli skraja opatrywać cuda malowideł.

Przedewszystkiem uderzał ich ołtarz, bijący odblaskiem zapalonych świec. Myśleli: czy to ten sam, czy nie ten? Tamten był biały — a ten oto czerwony, i złota pełno na nim. Nie dziwili się teraz składkom — tyle złota — musiało to kosztować!... Czy piękniejszy jest ten? Różne co do tego były zdania. Wielom żal było „tamtego“ ołtarza, który od dziecka widzieli.

— Już to ten jakby inny; bogatszy widzi sie, ale *nie ten*.

Wiele oczu zatrzymało się chwilę zeździwieniem na figurach biskupów, stojących po bokach. Byli cali wyzłoceni, a stopy, ręce i twarze mieli brunatno-czerwone, jakby pomazane krwią. Zapewne tak powinno być — pomyślał niejeden, a drudzy nic już nie myśleli przytem, tylko patrzeli w zdumieniu.

Napatrzywszy się do syta ołtarzowi, poczęli śledzić dalsze cuda. — Sunąc po ścianach różowych, zatrzymywali oczy na wiankach splecionych, otaczających świeczniki. — Ci, którzy stali w nawie głównej, mieli tęczę barwną przed oczyma, z kolorów wszystkich złożoną. Dziwowali się niemało. — Niektórzy rozglądali się za białym kolorem, mając na

pamięci złożone przez gminy mleko — lecz nic podobnego nie mogli najść.

Wreszcie oczy śledzące, sunąc w górę po ścianach, podniosły się aże do sufitu. Tam dopiero było się czemu przypatrzyć!

Płaszczyznę całą, bliżej głównego ołtarza, zajął swoją osobą święty Sebastjan. Na pół nagi, przywiązany był powrozami do pnia drzewa, które wypuszczało z gałązek świeże listki. Pod stopami miał trawnik nierówny, i obok porzucony łuk. Całe ciało świętego było najeżone strzałami o pierzastych końcach; — widać było rany świeżo uczynione, z niektórych spływała krew. — Święty cierpiał straszliwie. Lecz największy ból sprawiła mu widać strzała, która wpadła pomiędzy żebra koło serca. Święty wyprężył się i przegiął całem ciałem, tak, że omało powrozy nie pękły, a z ust jego, w podkowę bólu wygiętych, musiał wychodzić ryk.

Był to przeraźny obraz.

Lud też podziwiał go z trwogą, w pewnej obawie, że tak olbrzymi męczennik i ciężki, gdyby spadł na dół, zgniotby niemało grzesznych ludzi. Niektórzy nawet cofali się w tył, nie mogąc tej wiszącej trwogi znieść nad sobą.

A potem dalej oczy zaciekawione poszły...

Na dalszym suficie — od tęczy do chóru — widniała Matka Boska różańcowa. Szaty Jej rozwiały się daleko na boki. Oczy miała wielkie, do

góry przewrócone. Stała zaś wśród lekkich chmurek na globusie ziemskim, na którym, wyraźnie obrysowana, odznaczała się mapa z napisami (kto znał litery, łatwo mógł z dołu odczytać) pięciu gmin parafji niedźwiadzkiej, to jest: Niedźwiada, Podobin, Glisne, Łostówka, Jasionów — tak, jak były obok siebie położone.

W pewnym momencie rozszedł się po kościele przyciszony śmiech. Ludzie poczęli jedni drugim coś pokazywać na onym suficie, na obrazie Matki Boskiej różańcowej. — Zadzierało się do góry coraz więcej głów — i naraz cały kościół (oprócz blisko ołtarza stojących, którzy nie wiedzieli, o co chodzi) wybuchnął śmiechem.

Daremnie ksiądz się żachnął i przerwał czytanie mszalne. Śmiech był niepowstrzymany. Zerwany z wędzidła woli, rozpędził się, rozhukał w jakiś szał wesołości.

Oto malarz, namalowawszy ową Matkę Boską różańcową, stojącą na globusie, na którym, jak się rzekło, widniała (wyraźnie) mapa z pięciu gminami parafji, tak usymbolizował Jej łaski, spływające na parafję niedźwiadzką, że z dłoni Jej, różańcem oplecionej, padały promienie jasne na globus ziemski, na te gminy. Padał snop promieni rozszczepionych na każdą gminę z osobna: więc na Niedźwiadę, na Podobin, na Glisnę i Łostówkę. *Tylko na Jasionów nie padał żaden promień.*

To niektórzy, bystrzejsi, dość szybko zauważywszy, pokazywali drugim, ci zaś dalszym — i wnet przeto cały kościół uderzył w śmiech.

Byli w kościele i z Jasionowa ludzie. Biczowani śmiechem i drwinami, przejęci wstydem i upokorzeniem, chowali twarze, kryli się poza plecy ludzkie, uchodząc przed końcem sumy z kościoła.

Można sobie wyobrazić, jakim gniewem gmina Jasionów zawrzała, gdy wieść o tem do chałup ostatnich doszła.

— Na wieki pozbawieni łaski!... Co za wstyd! Co za hańba!... Zamało tortur na malarza, który to sprawił.

Odgrażali się, że go uśmiercą.

Lecz malarz, ukończywszy pracę, na czas przezornie ujechał, unosząc w sercu całą radość z dokonanej zemsty.

HERKULES NOWOŻYTNY

W gminie Jurgów, przy granicy węgierskiej, żył człowiek sprawiedliwy, nazwiskiem Kurzawa. Był to chłop niezwykłej siły i olbrzymiego wzrostu, i w naiwności swej nie wiedział zrazu, że się tem można wśród ludzi odznaczać.

Już od wczesnych lat nawykł ustępować wszystkim, to też, gdy ojciec, uważając na jego miękkość lekkomyślną, nie ostawił mu w testamencie jeno pół czwarcizny pola, i tę część ustąpił bratu w zamian za życzliwość. A to się stało w taki prosty sposób:

Upatrzył sobie był niewiastę, na żonę odpowiedzialną, i uprosił brata, aby poszedł do domu jej ojców, jako swat, na namówiny. Brat też poszedł i, wywiedziawszy się skraja, ile jej ojcowie dają, namówił — ale dla siebie, a jemu wytłómaczył pomału przy

czasie, że cóż mu po tym skrawku pola, gdy niema żony ni dzieci, lepiej niech bratu biednemu, obarczonemu rodziną, ustąpi — za to będzie miał życzliwość i wspominanie dobre na wiek wieków.

Tak to Kurzawa zbył się ojcowizny i miał prócz życzliwości i wspominków jeszcze zadowolenie w sercu z tego. Ani takiej zapłaty hojnej za ten mizerny skrawek nie przypuszczał.

Z tem zadowoleniem lekkiem poszedł między ludzi — i pokazało się dopiero teraz, że nie umiał żyć. Poprostu nie był do życia wuczony. Czy temu, że sam się chował we większej części lat swoich, pasając owce, potem woły po odludnych halach, czy z urodzenia był tak niepojętnym — dość, że już ojciec to widać spostrzegał, kiedy go z gruntu odcofnął, a i brat pewnie nie dlaczego inszego odjął od niego tę resztę.

Tak — nie umiał żyć. I na cóż mu ta siła wielka, ten podpowalny wzrost, kiedy nie umiał kraść, cyganić, przewijać się, podłazić, pochlebiać, być ślepym, głuchym, niemym, gdy tego trza było — no jednem słowem: nie był do życia sposobny.

To też, gdy nigdzie przy ludziach nie mógł

długo wybyć, ani roboty w końcu u nich naleść, a widział, iże innym, lichszym od niego w sile i umiejętności robót, dobrze się wśród ludzi wiedło, zaczął powoli poznawać niedołężność swoją. I to go jeszcze więcej onieśmielało do życia.

Straciwszy ostatnią służbę z powodu dosyć głupiego (iż nie mógł ten rok jakiś przepatrzeć spokojnie, jak gaździna oszukiwała męża poza oczy), stał się już całkiem bezradnym i jeszcze bardziej tego wszystkiego, co się życiem nazywać zwykło, nierozumiejącym. Tak się mu to wszystko pomięszało — i złe i dobre, i gorsze i lepsze, i sprawiedliwe i niesprawiedliwe, — że się już doznaku stracił i, jakby mu omamienie mgłą na oczach siadło, ujrzał się niby przed jaskinią czarną, którą silił się oczyma przebić, czując przytem, iż gdyby się jego oczom rozwidniła, to już potem wszystko — całe życie — stanie mu się jasnem. Doznaku tak, jak we śnie.

I gdy tak silił wzrok w tę ciemność długo uporczywie — a na płacz mu się już zbierało z tej próżnej niemocy — obaczył nagle przed oczyma smoka, który wychylił łeb potworny z czarnego otworu, wywalił na pa-

trzącego ozór taki długi, że jak życie życiem nikt pewnie nie widział takiego ozora, i cofnął się pomału nazad do jaskini. Wyraźnie drwił z Kurzawy.

Wtedy to po pierwszy raz napadła tego dobrotliwego z kośćmi człeka taka złość nieopętana i — można jeszcze dodać — taka wściekłość, iż bez momentu namysłu rzucił się ku tej jaskini, aby tę potworę głupią za jednym zamachem zabić, a jeżeli się nie da, to przynajmniej po tej drwiącej mordzie skuć tak, iżby się jej posoka puściła.

Ale cóż, gdy już mocno z tym zamiarem ruszył, wszystko mu naraz zniknęło z przed oczu: i smok, i czarność, i jaskinia — omamienie go odpadło, i widział jeno dookoła życie podobne jak przedtem.

Na kimże się tu mścić?

Z tego zabrał się z gminy, zaszedł na odludne działy, które graniczyły z wsią sąsiednią — a że był głodny i zmęczony, siadł na rozstajnych drogach i, nie widząc nikogo z ludzi, jeno pustkę, rzekł głośno, z przekonaniem:

— Niema sprawiedliwości.

A potem, gdy sobie, dumając długo, udowodnił na wyraźnych, bo niedawno przeży-

tych przykładach, iże prawdę powiedział nie kłamstwo, spytał się znowu tej pustki:

— Co czynić?

A że go już raz szarpnęło do bitki — choć to była jeno złuda, co go napastnęła — tem pilniej ponowiła się teraz ta chętka:

— Chyba iść i prać skraja — wszystkich — bez wyjątku... bo tu każdy coś winien...

Ale, zastanawiając się nad tem, obaczył, iż się to nie da tak łatwo wykonać. Gdyby wszyscy ludzie stanęli przed nim w jednej postaci, naprzykład w postaci smoka, jaki mu się w tem omamieniu pokazał — to rzecz byłaby nietrudna. Ale tak... po jednemu... Odrzucił ten zamysł.

Widząc się zaś rzeczywiście na rozstajnych drogach, znowu w bezradzie pomyślał:

— Co czynić?

Wtedy to odezwały się trzy głosy — każdy z osobna i inaczej — tak, iże mu się nawet mogło zdawać, jakoby trzy postaci różne przed nim stały.

Pierwszy głos mówił:

— Miejże rozsądek człowiecze, i kiedy cię ta gdowa rada widzi, coś zaprzeszłego roku u niej służył, to się z nią ożeń i bedziesz miał miejsce. Przecie to szczęście dla ciebie.

Wiesz, jak trudno niemającemu majątku przyżenić się do gruntu. Sam uważ...

Ten głos nie był mu doznaku obcy. Tak, tosamo, baczy, radziła mu życzliwa jakaś niewiasta, czy też kumoszka nawet onej gdowy.

A drugi głos powiadał:

— Jeżeli chcesz mieć długie życie, to strzeż się zwad i bitek. A najlepiej żebyś się pozbył przesądów i ostał kościelnym dziadem.

Ten głos w nim samym się zrodził; ale Kurzawa najmniej sobie wierzył; przeto się nawet nad tym głosem i nie zastanawiał.

A trzeci głos podszeptywał:

— Najlepiej jedź we świat. Świat szeroki, któż zgadnie, możesz natrafić na szczęście. Ani wiesz nawet, co cię czeka. Przytem obaczyć możesz cuda różne...

I ten głos, zdało mu się, choć trochę inakszy, już słyszał gdzieś, od kogoś, niedawno... Ale ba! tak — istotnie — od żyda karczmarza, który go w zeszłą dopiero niedzielę namawiał, aby ostał u niego furmanem. Jeździłby jeno po tabak za granicę węgierską, do miasta. Kawał światu... kraj nowy... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał?

I począł myśleć w rozumie, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się

podobać. Jedzie sobie, mospanie, parą końmi, jak kmieć na odpust do kościoła... Gościniec bity — osiedla po obu stronach — ciekawość wyziera z okien, gdy przejeżdża... Dziewki, zwyczajnie, najciekawsze... Niejedna gładka twarz czerwieni się i chowa poza sprzeczki okien, jak ta piwonia w ogródku poza sztachetami. Dolatuje go głos: »Patrzcie! Kurzawa jedzie!« On się prostuje na wozie i, jakby go nigdy nic nie obchodziło, zatacza koło biczem, strzela, a konie niosą, jak sto dyabłów...

I wnet w głowie jego, tem pomyśleniem rozpalonej, wytworzył się taki obraz zacny, iże furmaństwo zdało mu się najszlachetniejszem, ba, najsławniejszem zajęciem, jakie na świecie istnieje — w oczach urosło mu w Sławę, w słowo o wielkiej literze... Furmaństwo — Państwo — Hetmaństwo...

Widziało mu się jasnem, niewątpliwem, że właściwie już od dziecka o tem furmaństwie marzył. I naturalnie, poszedł za tym głosem. Choć ten głos nie był, jak się już rzekło, wewnętrznym — i, jak widać z powyższych kwiecistych obrazów, tak jeno mógł Kurzawę żyd-karczmarz zachęcać. Ale na to on nie baczył; niech był ten głos skąd chciał, skoro

dobrze doradzał: tak mu się już stanowczo widziało. Powiedzieć można: uwierzył w swoje powołanie.

Poszedł odrazu, najął się i jeszcze w tym dniu przełomowym został, jak bezświadomie był marzył, furmanem.

*

Z tych rzeczy, które mu wyobraźnia naprzód malowała, spotkał jeno w rzeczywistości gościniec bity i osiedla, nie zawdy po obu stronach. Bicz miał wprawdzie, ale nie umiał zeń strzelać — przekonał się, że i tu trza było sztuki; ostatecznie mógłby ją był ćwiczeniami nabyć; szkapy jednak miał tak liche, że o jakiemś paradowaniu rycerskiem nie było i pomyślenia.

I dość prędko furmaństwo stało mu się nędzą, słowem o małej literze, jak zresztą każde insze z blizka obaczone państwo — gałgaństwo — cygaństwo...

Wnet też przestał nazywać je swojem od dziecka powołaniem, a nazywał je posępnie swojem przeznaczeniem, zanim z kolei przy ciężkich westchnieniach nie zaczął nazywać je swoją niewolą. Bo to tak naturalnie szło...

Już dawniej, jak się rzekło, przyszedł nasz Kurzawa na to, że niema sprawiedliwości;

teraz, jeżdżąc światami, tem wyraźniej to spostrzegał; najbardziej to zaś uczuwał sam na swojej skórze, choć nie cliwą miał na różne biedy.

Doszło do tego, że zatrzymał raz szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy, i zapytał się stanowczo:

— Po co ja mam tak jeździć?

Nikto mu nie odpowiedział. Więc, westchnąwszy dość ciężko, popędził szkapy i ruszył. Jadąc zaś dalej, dumał:

— Tu ktoś winien...

Już nie myślał, że »tu każdy coś winien«, jak przedtem, bo, siebie sprawiedliwym widząc, sądził, że podobnych mu musi być choć trochę ludzi — bowiem inaczej jakożby świat istniał?

Przytem, jako człek w sercu sprawiedliwy, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła inakszym od wszystkich ludzi miał widzieć. Przecie jeżeli nie czem inszem, to siłą swoją mógł się pysznić, a w myśli mu to nie stanęło; a wzrostu to się nieraz i doprawdy wstydził, znalazłszy się na oczach wielu, na przykład w kościele, gdy klęknąć nie mógł wśród ciżby. Dlatego to winić wszystkich

142.

mógł chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku uczciwie pomyśleć nie dał.

Jadąc pomału, z przekonaniem coraz to mocniejszem, jakby mu się lżej przez to czyniło, powtarzał w koło:

— Tu ktoś winien...

I podszepnęło mu nie wiedzieć co, że winni tu niesprawiedliwi ludzie.

Tego mu właśnie trza było. Takie to proste mu się zdało, takie nikogo i wielu oskarżające.,. W sam raz rzetelna odpowiedź. Wydało mu się wprawdzie, że on już to samo wiedział; ale teraz mu właśnie trza było, by mu to ktoś przybaczył i, przybaczując, potwierdził, że to tak jest istotnie, nie inaczej.

Dumając nad tem, z gorliwości jeszcze o sprawiedliwość rozszerzył:

— Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie.

I w tem już ostatecznem przekonaniu ostał. Ta wiara mu się. taką pełną zdała, taką wszystko tłómaczącą i obejmującą, iż już nic do owych słów dodawać nie myślał. Była to w sam raz dla Kurzawy wiara; on bowiem zdawna gorliwym był o sprawiedliwość, jeno nie znał, skąd jej się krzywda najcięższliwsza dzieje.

Skoro więc poznał, rozgorzał w gorzci-
wym serca, przeciągnął ciężkie ramiona
i poczuł się w sile.
Znalazł nareszcie ostoję dla siebie i oparcie
w życiu. Chodziło teraz jeno o to, aby podług
tej wiary żyć i czynić święcie.
Ku temu przeszkód dużych nie spotykał,
bo, okazye sposobne same mu się na-
winęły, jako dzień za dniem jeżdżącemu.
I oto jednego dnia napotkał koło
karczmy przydrożnej dwie partye bijących
się chłopów. Stanął, zlazł pomału z wozu
i, skręciwszy lejce koło kusi, przystąpił
poważnie ku nim. Ci obaczywszy przed
sobą olbrzyma, gdy nie wiedzieli jeszcze

za kim stanie, rozpadli się na dwie strony
i zaprzestali bitki. Wtedy Kmzawa począł sąd,
Rozpytał się pomału, o co którym chodzi
i, rozpatrzywszy w swym rozumie sprawę,
karał ludziom sprawiedliwym nie ruszać
się z miejsca, sam zaś podszedł ku partyi,
którą za winną osądził i zaczął z kraja
prać. Jezusie! Takiego sądu uczciwego
jeszcze nikt z ludzi nie widział.
Chciał on tych niesprawiedliwych pokarać
w miarę ich winy, ale się miara stra-
ciła, gdy karę rozpoczął. Gorliwość jego
ręką kierowała - gorliwość święta, z tylo-
letniej niewoli zerwana, zasłaniające mu
oczy na sińce karanych i uszy na ich
jęki. Już nikt oporu nie stawiał, a on się
jeszcze srożył. Już stracił z oczu ich winę,

i widział jeno przed sobą niesprawiedliwych ludzi i tych karał za sprawiedliwość cierpiąca, za siebie – w końcu już nie wiedział za co, gdy mu gniew święty uwagę zatopił.
Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą nie zauważał, bo niesprawiedliwi leżeli wszyscy jako barany, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu, bojąc się w przezorności, by się ten olbrzym zjuszony, skończywszy sprawę z tamtymi, ku nim nie zwrócił naostatku w oślepłem zapamiętaniu. Potem podszedł do osłu pijanym jakby od wzruszenia krokiem, odkręcił od lisin lejce, wsiadł do półkoszek i pojechał.

Odtąd trafiały mu się częstsze okazye. Bo już miał oczy wzwyczajone do wyszu-

kiwania ich śród zgiełku wydarzeń.

Nieraz gromady całe napotykał, zwłaszcza podczas jarmarków lub wesel, nieraz jeno parę ludzi koło miedz przy drodze, ale tygodnia nie było, żeby nie miał żadnej; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytoczyło wyżej.

I że, sądząc jedynie z opowiadań ludzkich....

kich, pomylił się nieraz i prawdziwie w jakiemś zdarzeniu niewinnych pokarał — ha no, to trudno: ludzka rzecz mylić się w sądach.

I miał Kurzawa zadowolenie w swem sercu i nie czuł już tak ciężko swej niewoli, gdyż żył i czynił podług wiary.

*

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił.

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, i nawet w dalsze strony słyna o nim szła, ciekawiąc ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to niezwyczajny człowiek, i dziwili się wielce jego czynom; tylko ci mało się dziwili, którzy go znali poprzednio inakszym; ci powiadali, mrużąc oczy: »My to już wtedy w nim widzieli«.

Sława Kurzawy rosła, i szacunek się dla niego szerzył, ale niesprawiedliwość nie malała — ba, niesprawiedliwych ludzi było coraz więcej, jakby się z jego osądków rodzili. Kurzawa coraz mocniej gniewem się ku nim zapalał i w zapamiętaniu swem nie przyszedł na to, że mu właśnie ci niesprawiedliwi ludzie może bardziej, niż sprawiedliwi, potrzebni — bo gdyby ich nie było, cóżby wtedy robił, chcąc

dla sprawiedliwości czynić? Ba przeciwnie — gorliwość gniewna w nim rosła. Zapalał się coraz srodzej w swojej świętej wierze i już nie zadawalniał się okazyami, jakie mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzie mógłby niesprawiedliwość pognębić, a sprawiedliwości pomódz, iżby w końcu zapanowała na świecie — bo widziało mu się w sercu, iż to jest celem jego życia. Począł jeździć na jarmarki, choć nie miał potrzeby, zapraszać się na wesela bez pomocy drużbów, zachodzić wreszcie do karczmy między zgiełk i ciżbę... A skro się mu sposobność przydarzyła — sądził. Owa gorliwość zdwajała, ba, setniła nieraz jego siłę, tak, że kupy całe gromił, jako on Samson biblijny. I wszyscy już uwierzyli w jego moc nie z tego świata, i nikto zemsty nie śmiał szukać na nim, choć i niejeden pocichu jej pragnął. Ta gorliwość zarówno czyniła rękę jego coraz to mniej lekką, coraz to więcej podobną do młota; sam już nareszcie wagę siły swojej stracił.

I co się nie wydarzyło...

Oto jednego pogodnego rana dostał Kurzawa wezwanie do sądu.

Gdy raz przy okazyi gromadę jakąś uśmie-

rzył, któregoś z niesprawiedliwych tak mocno, nie czując ciężkości ręki swojej, nadwerężył, iże mu już do śmierci bardzo niewiele brakowało; jakieś tam żebra, czy coś z kości miał nadłamanego.

Za to go teraz wzywano. Poszedł ochotnie, bo cóż go miało trapić? Powie im: »Ja dla sprawiedliwości czynił« — i po sądzie. »Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony« — dumał.

I bez najmniejszej trwogi jawił się przed sądem. Jakież było jego zdumienie, gdy usłyszał wyrok, skazujący go za zbrodnię (wyraźnie słyszał: za zbrodnię) na trzy miesiące kryminału! Jakby go kto z nienacka pałką w łeb uderzył... Nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejś ciemnicy, gdzie miał tę karę cierpieć. Tu dopiero ochłonął i mógł się zastanowić.

Teraz to już nic a nic nie rozumiał. Zgłupiał doznaku na piekne. Przecie on dla sprawiedliwości... a tu znowu w imieniu sprawiedliwości... Myślał, myślał — dzień, i noc, i dłużej — sam nie wiedział, jak długo, bo już czas rachować przestał — i nic zgoła, ani odrobiny z tego wszystkiego nie mógł

pojąć. Widział jeno czarność przed oczami i przed rozumem nieprzebitą, jak ścianę, jak mur.

I znowu mu się ta potwora, jaką już raz w omamieniu widział, przedstawiła. Przezdało mu się wyraźnie, że ją widzi w czarnym naprzeciwko kącie, jak się trzyma łapskami za brzuch przeobmierzły i śmieje się tak wstrętnie, że się jej aż pysk drze od jednego ucha do drugiego, a zębska jej się świecą jak te grabie.

Kurzawa już się nawet na to i nie wściekał, jeno odwrócił umęczoną głowę i szepnął z gorzkim wyrzutem (jak dziecko, gdy je pokarzą, a drugie się z niego śmieje):

— Śmiej sie, śmiej...

I począł aże z tej niemocy płakać. Potwora znikła.

Kurzawa znów, uspokoiwszy się zwolna, zaczął na nowo nad tem wszystkiem myśleć. Zasadzał się z tąd i z owąd, aby coś rozumem pojąć — ale na nic, popróżnicy głowę se mozolił. Gdy zaś poczynał uparcie z całem wysileniem dumać, to uczuwał, że mu się coś w rozumie mąci, jakby go obłęd głupi napastował. I dał już spokój głowie — już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego

myślenia — drewniał pomału — czasu idą cego nie czuł — nic nie czuł, jeno ciężkość na piersiach duszącą, jakby się góra piasku na nie zwiezła, i czarność przed oczami, jak ścianę, jak mur...

Wyszedł nareszcie z więzienia — wrócił do wsi — ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza gromad większych, i nieśmiały był bardziej, niż podówczas, gdy u ludzi sługował niewolnie.

Zgarbił się jakoś, zmalał — nikto by go już za olbrzyma nie wziął — osiedla ludzkie omijał z daleka, po boku chodził ze zwieszoną głową, wygląd miał smutny na wejrzenie, jak niedźwiedź po spowiedzi.

Ludzie też, widząc go takim znębionym, śmielej poczynali mu zazierać w oczy, ba, dość nierzadko witali go śmiechem. Częstokroć przy nim zwady poczynali na próbę, czy się też wmiesza — ale Kurzawa, jakby całkiem zabaczył o sprawiedliwości, patrzał ponuro na to i usuwał się. Sława, czynami dawnymi zdobyta, pokryła się gdzieś poza ludzkie płoty, ani jej widać ni słychać nie było.

Niesprawiedliwość podnosiła coraz to wyżej

łeb swój nieochrzczony, wreszcie na cały głos tryumfowała.

Kurzawa jeździł szkapami, ze zwieszoną głową, po drogach, po których jeszcze niedawno sprawiedliwość czynił — i tu też, jak przeznaczenie chciało, spotkała go śmierć.

Oto bowiem ci wszyscy przez niego dawniej sądzeni — a było ich dość sprawnie, bo coś przeszło nad stu — zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. (Nec Hercules)...

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Jurgów. Ale sława Kurzawy zaczyna się powoli przywracać. Ba! nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go za to potem (słusznie, jak powiadali ludzie) uśmiercili, zaczynają przemyśliwać nawet dość naprawdę: czyby go natenprzykład nie ogłosić świętym?

153.

SCHRONISKO

I.

Na wyniosłej polanie, na jej stronie schylonej ku słońcu, przy kraju lasu bukowego, dwoje pasterzy zabawiało się w lipcowe przypołudnie gwarą, jako też patrzeniem na się, siedząc na poły leżęcy na trawie, którą woły postrzygły zębami.

Podobali się sobie: bo on miał włosy czarniawe, stręczyste i oczy-czarne ogniki wprost do samego serca wiertające; ona zaś miała włosy do lnu słońcem ozłoconego podobne, a oczy siwe, jakie kwiatki niektóre miewają, i to wtedy, kiedy rosa je zmyje, wyczyści, a jeno ślady wilgotności na nich poostawi.

Oboje byli rówieśni, niedawno z pasterzy owiec na pasterzy wołów wyrośnięci, i z gibkości swej przy poruszeniach podobni byli do onej młodzieży buczków, która po kraju rosnąc przy bukach-rodzicach, chwiała się za lada wiatrem.

Podobaliby się sobie i bez tych mamiących serca przyniewoleń, bowiem pasali woły sami dwoje

już od świętego Jana; zaś do wzajemnej upodoby to się przyczyniało, że nie chowali się od mała w tem samem osiedlu — mało w swoich wezwyczajach poza pasaniem się znali.

Zabawiali się przy kraju, a woły przeszły wierchem, pasęcy się, na stronę północną, gdzie więcej cienia się słało.

Słońce z południa przypiekało mocno; trawa się rozpalała, w powietrzu żar się wzmagał. Siedzący głowy kłonili ku sobie, zachylając twarze od promieni.

— Jak piecze...

— Pomknijmy sie do cienia...

— Trzaby na woły wyjrzeć...

— Po co... Nika nie pójdą... Ka mają iść? — zabiegł słowami pasterz.

I zesunęli się na dół po trawie, nie wstając, aż liście buków zakryły im słońce.

Zbliżeniem swem spłoszyli dwoje małych ptasząt; wyfurgnęły z gałęzi i usiadły wyżej.

— One sie też schroniły do cienia — pokazała z uśmiechem pasterka.

— A jakże... — przyświadczył, łowiąc oczami jej uśmiech.

Zarumieniona, odchyliła głowę. Milczeli oboje chwilę.

— Żeby ja tak mógł... — począł pasterz i urwał.

— Co, żebyś tak mógł?...

— Żeby ja mógł mieć taką moc, jak to drzewiej miewali niektorzy... że cobych se pomyślał, toby sie mi stało...

— To co byś se pomyślał?

— To, co i teraz...

— A co se myślisz teraz?

— Zgadnij...

— Nie chcę zgadować.

Znów odchyliła twarz zarumienioną. Krążek słońca z pomiędzy liści padł na jej włosy i ozłocił je. Pasterz patrzył w zadumieniu, jako na świętą z obrazka. Trwali w takim bezruchu czas jakiś.

— Oj świecie, świecie! — westchnął wreszcie głęboko, z dna serca.

Zwróciła oczy ździwione ku niemu i, gdy wyczytała z oczów jego przyczynę onej ciężkości uśmiech figlarny na twarz jej wykwitnął.

— Coż ci ten świat tak cięży?

Nie odpowiedział, jeno się wpatrzył w nią osmętnie z miłosnem poniewoleniem.

Światła wbiegały na jej twarz i nikły, napróżno siliła się na zwykłą spokojność. »Coż znowu?« — karciła się, zła sama na się za ten niepokój oczywisty. Ale serce się tłukło uparcie; bladła na myśl, że on je tak samo słyszy.

— Coż tak patrzysz?...

Siliła się powiedzieć spokojnie. Lecz głos jej własny zdał jej się tak obcym, jakby go nigdy nie słyszała. On wpatrywał się dalej. »Nic nie po-

może, trzeba coś wymyśleć«. Podsunęła jej sposobność:

— Jakie te ptaszki śmieszne... — pokazała na kraj.

Dwoje onych małych ptasząt, które poprzednio wyfurgnęły z kraja, wróciły znowu na dawne swe miejsce i wieszały się po gałązkach, szepleniąc przytem coś do siebie.

— Nie wiesz — spytała — jak sie nazywają?

— Nie wiem... Czy sie to muszą nazywać? Ochrzcij je sama...

— Jedno ma czubkę czarniawą na głowie. To bedzie on... A ona zaś ma korale pod szyją. To on bedzie czubaty, a ona koralinka. Coż, podoba ci sie?

— Podoba... — odrzekł z uśmiechem, myślący o innej ptaszce.

— Patrz! Patrz! Wywiórka!...

— Co też ty jeszcze nie wynajdziesz...

Poprzez liście widać było owo cisawe stworzenie, patrzące z ciekawością ku nim, w ruchu postrożnym, trzema łapkami wsparte na gałęzi, czwartą, sięgającą wyżej, na pniu buka, gotowe każdej chwili do wyśmigu...

— Nic sie nie boi...

Pasterz sięgnął opodal po szyszkę.

— Nie ciskaj. Co ci wadzi?

Posłusznie upuścił szyszkę.

— Widzisz, spłoszyłeś ją. Takie to ładne.

— Może ci ją dostać?

— Po co... I tak byś jej nie dostał...

— E? Załóżmy sie!

— Nie chcę.

— Jaby jej nie dostał! — mówił urażony. — Chybaby skrzydła musiała mieć... Abo w jakim gęstym lesie...

— Cicho-no! Widzi mi sie, że zagrzmiało...

Zmilkli. Pasterz spojrzał do góry.

— Z jasnego nieba? Bajanie!...

— Zdawało mi sie...

Jednak, mimo tych objaśnień, jakiś cień przesunął im się po sercach, życiem dyszących, jakby poprzed słońcem przeleciał czarny ptak nieznany; i chwilę trwali w milczeniu, nim się ich dusze rozpogodziły na nowo.

Łatwo to przyszło, bo zewsząd wiały ku nim: radość, wesele, swoboda. Gdzie pojrzeć — wszystko kwitnęło, dyszało życiem pełnem, beztroskliwem, i radowało się słońcu. Ptaszki one dwa nie odstępowały kraja, trzepotały się po liściach i gwarzyły bezustanku jakąś przymilającą się gwarą. Wiewiórka znowu, przyośmielona bezobawą ptasząt, wróciła na bliższe drzewa i szmerzyła się, śmigając z gałęzi na gałąź dla wprawy. Nawet te liście bukowe, prześwietlane słońcem, miały jakąś radość w sobie, która się udzielała oczom, patrzącym na nie z pobliża.

— Jak też to tu wesoło! — rzekło dziewczę.

— Hej... — przyświadczył pasterz.

— Nic sie tu nie cnie.

— Samemu by sie cnęło... jak i mnie nieraz, kiedych sam pasł...

— Nie mogłeś ku mnie przygnać?

— Czy ja wiedział, żebyś mi była rada?

— Ej ty... nie wiedział.

— Ja i dziś poprawdzie niewiem...

Śmiała się głośno, żeby zagłuszyć słowa niepotrzebne.

— Słusznie nie wiem... — przymawiał.

— Patrz-no, patrz-no, jaka ta wywiórka śmiała! Na ostatni kraj gałęzi przyszła...

I tak patrzenie na cuda i patrzenie na się przeplatali gwarą zręczną, jak przewijania wiewiórcze. Czasem troska o woły ich nadlatywała.

— Ka one też tam... Trzaby wyjrzeć...

Ale jedno drugie wstrzymywało, i tak im chwile leciały.

Słońce coraz mocniej piekło; nawet przez liście buczyny żar się do cienia przesączał... Gorąco przypołudnia rozleniwiło siedzących — polegli plecyma na trawie, i roztwartemi oczami patrzyli ku niebu.

— Co też to tam jest... to niebieskie?

Dziewczę nie lubiało patrzeć nie mówięcy.

— Nie wiesz to? sklepienie...

— Ja wiem... ale z czego?

— Tego nikto nie może zgadnąć.

Patrzyła jeszcze chwilę z pobożnem zastano-

wieniem, wreszcie, westchnąwszy w bezradzie swej myśli, zwróciła oczy od światła.

— Cosi sie chmurzy od zachodu.

Podniósł głowę i pojrzał.

— Daleko...

— Ale że też to chmury wsze z boków przychodzą... Mogłyby z nieba słazić — no nie? Mogłoby też i bez chmur lać... skoro Pan Jezus deszcz daje... Ale tu pewnie płanetniki mają swoją moc...

— Chmury od morza przychodzą. Tak mówił stryk. Naprzódy lecą nad morze — nassią sie wody, nassią, i potem wracają z deszczem...

— Ale skąd sie tu biorą naprzódy?

— Czy ja wiem!... chyba ze mgły...

O tom sie stryka nie pytał. A może i on sam nie wie!...

Zadumali się przy tem oboje, zgadując se różnie w myślach, choć bez żadnego uwierzenia, iżby mogli, zwłaszcza w takiej materyi jak mgła, dojść do oczywistej prawdy. Jak stryk nie wie...

I wnet myśli unużone rozemgliły się w odczucia niejasne, w pragnienia dusz nieźrałych a wsze jedno sklepienie nieba widujących.

— Jaki też to ten świat... telo krajów... Czyby też z najwyższych Tater jaki kraj uwidział? Musi być widać daleko... A na kraj świata — czy też tam kto doszedł? Ratunku!...

Cofnęła się myślą w strachu, jak przed widokiem otchłani. Po chwili zamyślenia:

— Chciałabych kie uwidzieć morze... ale nie zblizka...

— Jaby zaś chciał uwidzieć, jakie to te cieplice, kany ptaki na zimę odlatują...

— Mówią, że jest taki kraj, co figi na drzewach rosną...

— A jest... Jest też i taki, co słonko nigdy nie zachodzi...

— Czy oni też tamci o nas wiedzą?

— Ale! Co im ta naski kraj, jak oni mają takie cuda...

— Pewnie... co im ta o nas... — przydała ze smutkiem.

Pomilkli i kołysali się marzeniem o tych dalekich krajach-cudach.

— Ej, żeby też to kiedy... tam pojechać — wypowiedziała nieśmiało.

— Ja cię wezmę.

Roześmiała się w twarz tej gotowości, wyzierającej z ócz jego. Zabolało go to mocno.

— Coż sie śmiejesz? — rzekł z wyrzutem. — Czy ja to zawdy bedę pasł? Jeszcze rok, dwa, a potem...

— Co potem?

— Bedziesz widzieć! I za morze ludzie jadą, a... jadą i... wracają...

Chciała mu jakoś to bezwolne zranienie nagrodzić, więc spytała z przymileniem:

— Naprawdę byś mie wziął?

— Jakże? przecie nie na śpas...

Podziękowała mu pięknie oczyma za tę ochotność gotową, i pogoda stanęła znowu między nimi. Nie myśleli już o dalekich krajach i nie zazdrościli im niewidzianych cudów.

— Niech se ta mają, co chcą, kiedy nam tu dobrze.

— Hej...

Zgodzili się oboje na jedno. Patrzeli na się leżęcy i chciwie choć pokryjomu wypijali se z oczów szczęśliwość. Po twarzach ich, zaognionych gorącem i upojeniem, chodziły złociste kółka, z pomiędzy liści buków padające, i staczały im się co chwila na oczy; więc uchylali je od światła i uśmiechali się jak dzieci tej słonecznej psocie.

Szmer się jakiś uczynił u kraja.

— Coz to? — szepnęło dziewczę.

Podniósł się pasterz i popatrzał.

— To ta wywiórka tak szmerzy... Puszcza szyszki smrekowe, co se naznosiła... Niema bukwi tego lata — rzekł, przychylony ku niej, a myśli sobie: »Co też to w tych oczkach siedzi...«

— Nie patrz tak, bo mnie urzekniesz — zaśmiała się.

— Tyś mnie już dawno urzekła...

— Nie pleć. Jaka też to ta trawa... — rzekła, aby coś powiedzieć.

— Kany?

— I tu! i tam! i wszędy!...

Zerwała się swawolnie i ździwionemu śmiała się w twarz, mówiąc oczami: »Pocałowałabych cie za to, żeby...«

W te razy zagrzmiało w dali. Oboje zcichli, nasłuchując.

— Kanysi bardzo daleko...

— Bedzie deszcz z tego gorąca.

— Trza do wołów... — poradził pasterz z powagą.

— No... Kto kogo przegoni ?

Puścili się pędem ku wierchowi — poprzód pasterka, za nią pasterz. Dopędził ją przy wierchu i objął ramionami.

— A widzisz... mam cię... teraz-eś już moja!

— Puść... — zatchnęła się powietrzem.

Uwolnił ją posłusznie — i poszli obok siebie, dysząc głośno. Stanąwszy na wierchu polany, rozejrzeli się. Na zachodzie noc się czerniła. I znowu przeszło ich serca uczucie, jakby ptak słońce przesłonił. Ale to jeno na moment. Słońce grzało jak poprzód — większa połać nieba była jasna — ziemia pogodą jaśniała...

Uśmiechnęli się sobie i poszli za wołmi.

II.

Zapowiadana tłumionym przez oddal łoskotem i wyprzedzającemi zgęstniałą, murem sunącą noc wieśćmi - chmurzycami, które jako anioły grozy pędziły zaognione z włosami rozwianymi i rozczapierzonemi dłońmi, zbliżała się burza...

Słońce odwieczerza zatopiło się z całym swym jasnym przybiorem i oświetlą od niego bijącą w gęstej, jak ołowiany staw, chmurze — na ziemię spłynął cień i przestrzenił się możnie coraz dalej.

Od tej dalekiej nocy-burzy, kotłującej się, wrącej i wydającej, jako potworny, kołtuniasty zwierz, pomruki groźne i głuche poryki, szły ku wierchom zmroczniałym i ochylającym je znędzniałym lasom posłańce różne, zapowiedzi...

A więc naprzódy chuchnął dech gorący, od którego duszność ciężka osiadła w naturze całej i zleniwiła ją, jako zaraza wdychana.

Potem nadleciał zimny podmuch, jakoby skrzydła miał z igiełek mroźnych, kłujących a bezsze-

lestnych; dreszcz przebiegł drzewa, liście, trawy i wszelką żyjącą stworę — zatrzęsły się.

Za nim niedługo przypadł wiater mocny, począł próbować wytrzymałości i oparcia lasu, przyskakiwał ku pniom, siepał się, ciskał od drzewa do drzewa i — jak gdyby naglony mocniejszym nakazem, abo wiele miał jeszcze prób w czasie zbyt krótkim przed sobą — pędził co tchu....

Gdy ten przepadł, nastała cisza zmiertwiała, cięższa do przetrzymania niż poprzednie wysłańce, nakaźna, niepokojąca.

Las w tem niepokoju zciszył, zdawało się, oddech i trwał w nakaźnem milczeniu. Ale przecie niesłyszalnie dyszał i gotowił się pocichu na zapowiedziane...

Ptaki przemykały z miejsc, upatrzonych poprzód, na bezpieczniejsze, nie czyniąc przytem zwykłego szelestu. To samo zwierzę chodzące: stąpało tak, szukając zachronień, jakby tuż blizko wróg czyhał.

Drzewa zaś zbroiły się w milczeniu w zaciętość... Zwłaszcza rozparte, muskularne buki potrząsały bezszelestnie liśćmi i hardziały w sobie. Smreki obawniej się czuły, bowiem niewiele ich było i poroztracane; one jeno wtedy mocne, kiedy są w kupie ściśnionej, gałąź o gałąź sparte; to też wierzchołkami patrzyły na się z poza buków, jakby się rachowały w sile. A już młodzież smreczana, jedliczna, jako i buczyna giętka, całkiem bezradna

... stała; ta jeno spokojniejsza w swych wiotkich, gibaśnych pieńkach, co się za ojce swoje zachyliła.

Tu i ówdzie, stojące hardo stare jedle: szumem wysokich, nad las wyniosłych, koroną wieńczonych głowic uciszały brać młodszą i spokoiły ją na owo przyjście złowrogie... Nie takie one pamiętają burze – z czasów dawnych, gdy stały borami.

Nie z takimi parły się mocami!.. A trwały i przetrwały. Nie wiele ich co prawda ostało, ale ostałyby się bez mała wszystkie, żeby nie ta gwada żądliwa, która je żelazem ostrem popodgryzała u świata.

Najstarsza z owych jedli stała, wrośnięta w kremienne podskale, u samego wierchu od południa, pobok polany, na której woły pasano.

Zdaleka czerniła się jej korona czapista, niby gniazdo orle, gdzieś w obłokach.

Zaś wyżej jej konary, raschłe i powykręcane, niektóre jakby w łokciu żylastym zgięte, wpięstnione, groziły - zda się - zbliżającemu się człeku, niby potworne ramiona. Sam dołowy kadłub się odsłaniał: nieobyczajnie hruby, spotworniały od bulw, narośli roskornych, ochropiały naokół popadaną korą, sękami pokruszanymi z młodu wypęgiony, do tego tu i ówdzie przez dzięcioły skłuty i zdziurawiony.

Poniż kadłuba, w odziomku, otwór się czernił na wysokości drzwi. Miała ta harna jedła wnętrze wypróchniałe; odziomek - szary żłób, a i kadłub we wnętrzu o ile się z dołu widziało, był próżny.

Pasterze różnymi czasy tu pasący, korzystali z tego i palili w niej, i wydrążyli ją jeszcze bardziej, tak, iż

miało mogło się w jej wnętrzu dziewięciu ludzi stojących pomieścić; mimo to jeszcze zdrowie miała mocne.

Podczas burz i zawiei ciemnych lub innej jakiej niepogody, była ta jodła schroniskiem wielu strwożonych i bezdomnych istot. Przed kilku laty mieszkał w niej Jantek „Djabeł", poszukiwacz skarbów, póki go drzewo inne nie zabiło.

Mało schroniskiem - była ona kaplicą, nie jeno przez podobieństwo zewnętrzne do staroświeckiej kaplicy, bezbożnej już i zczerniałej wiekami, ale iż tam się w czasie burz przerażonych wiele dusz modliło żarliwie, wiele westchnień, od słów wypowiedzianych - głębszych, ulatywało gardziele jej spróchniałe ku górze.

Owo jej wnętrze czarne było, jak czeluść komina; ogień nawęglił boki,

dym oczernił górne wydrążenie, przez to milsze człowiekowi było, zwłaszcza bezdomnemu, bo przypominało wnętrze dymnej, oczerniałej izby.

W czasie tym, kiedy na drzewne jej siostry - jedlice i na poinszą brał takie, jak się powiedziało spadły załęki albo poszumy od złych wiatrów, lecących poprzód przed burzą, jedla nasza stała w obojętności skostniałej, już od całego wieka przysposobionej i ani drgnęła.

W głowicy jej wyniosłej, jeszcze zielonej, chociaż już mało iglastej, plątał się ledwo ku ziemi słyszalny szum - jakiś inny, nie z onego tu świata, lecz jakby przypominanie szumów dawnych - dawno pomarłych drzew - drzew-ojców - drzew-praojców ....

We wnętrzu jej było cicho. Bo nawet muszki-brzęczki, które się tu, po zajściu słonka za dworze, schroniły i brzęczały przez chwilę ze zdudniałym gwarem, jak w ulu, siedziały teraz po zwęglinach i szparach, jakby snem poprzylepiane.

Cicho było, jak istnie w kaplicy....

Aże naraz zatrzepotało się coś u wejścia, na wysokości naczółka drewnianego. I u kraja przyczepił się ptaszek, zaziera-jąc uważnie do wnętrza. Nie mógł ciemności przejrzeć, a chciał przejrzeć — więc puścił się na odwagę i obleciał parę razy kołem; potem wychynął, a za moment wróciło ich dwoje.

Rozmieścili się w czeluście pierścienia-mi wzlotu i posiadali na sękach, wyras-tających z boku do środka; coś ćwier-kali, coś sobie opowiadali, czy też przyzy-wało jedno drugie ku sobie; w końcu

znaleźli się razem na jednym sęku i siedzieli już dalej cicho.

Po chwili znowu szmer z góry spłynął do wnętrza: otworem, który dzięcioł wykuł, a jakiś inny stwór rozszerzył, wsunęła głowę wiewiórka. Porozpatrywała się naprzód ciekawie, a potem wślizgnęła się zwinnie. Pomknęła kominem w górę, przepatrzyła, azali wróg jaki w ciemności nie czyha, potem skoczyła na dół, popróbowała powietrznego tańca „od ściany do ściany", wreszcie usiadła się, dysząc, przy otworze.

Znowu nastała cichość.

Nie uszła chwila, jak się ozwały stąpania, i do schroniska wprowadziło się dwoje młodych: pasterz i pasterka.

Tu przeczekamy – zadudnił głos

pastera we wnętrzu.

Starzęta, zaniepokojone, kręciły główkami, dumając, czyby nie wymknąć. Ale widząc, że młodzi bez żadnego złego zamiaru tu weszli, uspokoiły się i zapadły na nowo w półsen czuwający.

Wiewiórka też za ich wejściem wymknęła się otworem na zewnątrz, a za moment wraziła łepek, posłuchała i cała się wsunęła z powrotem na miejsce.

Młodzi stali czas jakiś milcząc, nastrojeni podobnie, jak i wszystek dokoła żywot. Martwa cisza oczekiwania i ich przygniotła. Jednostanne wrzenie szło po włóknach-żyłach wszystkich jednem powietrzem choć różnie albo i zgoła utajenie dychających jestestw.

174

Burza się podolna zbliżała. Różne znaki zbliżenia się jej powiadały. Słychać było jakoby olbrzymie stąpania, od których ziemia drżała i echo szło dudniące.

– Dobrze tu z tem schroniskiem... Kabyśmy byli uciekli? – ozwała się dziewcze pierwsze, chcąc trwogę serca zagadać.

– Ja raz tak szedł... od volów, v nocy... Burza zdybała mnie v lesie...

– Jezus! toś ta miał....

– Szedłech na ślepo, nie vidzęcy. Co się łysnęło, tom krok stąpił... Pieróny biły...

– Nie mów...

Przeżegnała się, bowiem łyśnięcie dało się vidzieć przez otwór. Zaraz-długo huk się dobył i popłynął po lesie v dudnieniu.

— Blisko kampi.

— Pójdę wyjrzeć na woły – rzekł pasterz.

— Nie chodź – strwożyła się.

On też nie myślał iść. Tak sobie rzekł, chcąc śmiałości dodać sobie i dziewczęciu. Patrzeli w otwór, wyczekując nowej błyskawicy, aby się na czas przeżegnać.

— Pokrapuje...

— To chyba grad...

— Nie takie grube krople...

— Czy nas tu nie zamoczy?...

Podniosła głowę i pojrzała do góry.

— Widzisz ty, i ptaszki tu se... i wiwiórka!

— Ciszej niech się ta siedzą.

— Dyć karby ja ich wyganiała... Biedactwo...

Oni się tu prędzi schronili, to mają.

przed nami pierwszeństwo.

Znowu łysnęło – już wyraźniej. Oboje się przeżegnali, a pasterka, schylona, poczęła drżeć wiotkiem ciałem, jako ta młoda koralina w wietrze.

– Boisz się? – spytał ją z tkliwym głosem.

– Nie, nie boję się przy tobie... odrzekła, dygocąc jeszcze.

Otoczył ją ramieniem nieśmiało.

– Chciałabyś przy mnie być... tak zawsze...

Głos mu drżał wzruszeniem serca, rozechwianego burzą i wzruszeniem.

– Nie powiesz mi...?

Skinęła jeno głową i przechyliła się ku niemu.

Wzruszeniem spowici, milczeli, czując dygot serc swoich przy sobie. Widzieli się jakoby w chałupie – bezpieczni. Gdzieś tam daleko idzie burza – gdzieś daleko grzmi.... Serca się

tłuką, - czują wzajemnie ich młoty - lecz chyba nie z zalęku.

- Radaś mi choć troszkę?

- Cóż się pytasz... przecie wiesz...

Szeptają bardzo cicho - myśli się same stykają. - Harbieś...

- Co, Jeruś...

Cieszą się imionami swoimi, muskają się niemi po sercach, niby miękkiemi piórkami. Wreszcie słowa wydają się im nijakie i zbędne - więc milczą, przytuleni do siebie, objęci szczęściem jako powietrzem pachnącem.

Trwają tak, nie wiedząc o czasie, nie widząc nic, tylko jakąś przed sobą jasność łagodną, przerozkoszną, która się przesącza w serca, że przestają bić z rozkoszy... Kolana się gną, jakby dusze uklęknąć chciały przed tem

178

Niewysłowionem...

Życie minione wydaje się snem... a to istnienie prawdziwą... Prawdą...

– Czy to prawda? – pyta się dusza. A wargi szepcą: – radaś mi?

Skinęła, i głowę tę przekochaną schyliła mu na piersi. Przytulił ją mocniej i niezgrabnie pocałował jej włosy. Pachność z nich uderzyła mu do głowy, niby trujący czad.

W te razy światłość przebiegła po wnętrzu. Młodzi ledwo zdołali się przeżegnać, gdy huk się rozszedł trzaskający, jakby kto górę kamienną rozłupał. Za moment nowa błyskawica, i znowu huk podobny.

– Jak się też to przeraźnie błyska...

Rzeczywiście, błyskawice były jakieś przerażające, niezwykłe, jakich pasterze

nie widzieli za życia swego niedłu-
giego. To też gromkie ich światło rzu-
cały trwogę na ich serca; stali w za-
lęku, tuląc się ku sobie, jako tych
ptaszząt dwoje ponad nimi.

Deszcz począł ciąć nawalny. Tuż
światu nie było widzieć. Błyskawice
raz po razie sypały światło przeraźne;
już i żegnać się trudno było za każ-
dą, – huk toczył się bez odetchnienia...

Dziewczę drżało całe, jako ta
najsłabsza trawa.

– Nie bój się – prosił pasterz – prze-
cie ja przy tobie...

I przytulał ramieniem żegnającą się
co moment, a sam pobielał aże ~~do~~
ze wzruszenia.

– Wnet przejdzie... widzisz już
grzmot

słabnie....

Zdawało się nareszcie, że się huk potoczył dalej. I błyskawice nadal były, ale stawały się jakieś trzeszczące, czerwieńsze – z paru takich zamigotał – z jednej był krzyż... Raziły serca patrzących, jak groty.

– O Jezu – jęczało dziewczę.

– Nie bój się... już przechodzi... Widzisz, już się tam przeciera....

Burza mijała – szło na wierch...

Nagle dreszcz – światło... i za niem trzask straszny – prędszy niż słowo – minął...

I jodła korona rozszczepiona na pięć – drzazgi z niej odstrzelone tu i ówdzie po ziemi – wśród nich leżą ciałka ptasząt, wiewiórka zabita na śmierć, i tych dwoje...

Burza przeszła. Słońce zegnało resztę chmur — zieleń, obmyta, rozjaśniała na nowo całą swoistą krasą, radośniejszą jeszcze zieloną niż poprzód. Z liści bukowych spadały lśniące perełki.

—.

182.

183

JAK JÓZUŚ CHCIAŁ,
A JAK MU WYSZŁO

Józuś, Miecusiów syn, z pod hal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacyach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci: — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencyę nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej by się niczem nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słonka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła, przez matkę przynukany, poszedł, księdza proboszcza odwiedził — ale i to czynił bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno w jedzeniu dogodzić; jajeśnicę mu co rano smażyła, za-

cierkę z białej mąki na mleku gotowała, poddawała mu, co mogła; i Józuś wnet stracił bladość przyniesioną z miasta, przybyło go na gębie, wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem jadle zwykły różne myśli przychodzić do głowy — więc i Józusiowi przyszła myśl: pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły mu się owce, siano, pasterki, śmiejące się takim śmiechem, który aż łaskocze... Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu — tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szałasy były na hali Chochołowskiej. Tam też Józuś poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie, bo znali go od mała — niejedno lato z nimi pasał. Po paru dniach oswoili się z nim, i Józuś wodził się z pasterzami, jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy wiatr zdmuchnie. Nie na marne też wyszły podbiady, dawane przez matkę. Ku pasterkom się z przyśmiechami zwracał — te zaś prześmiewały się z jego nauki.

— Tyle-ś casy w tych skołach był, i coz cie naucyli? Śpiewki-eś pozabacował...

— To se przybacę — starał się mówić w ich sposobie.

— Moze w seminaryi? Tam by ci dali! Msę świętą kazą ci śpiewać...

— Coz to zawadza?

— A to, ze teraz ci juz o świeckich rzecach nie trza myśleć.

— Widzis, zebraku, ani na wesele nie bees mógł iść, ni na druzbę...

— A das mi, Józuś, ślub, jak księdzem ostanies?

— Dam ci, z jaką paradą! ino pockaj.

— A kie-z to bedzie? Za rok, dwa? Bo mi sie śpiesy.

— Coz ci tak pilno?

— Gadaj mu ta o tem, kie on juz jak ksiądz. — Jakze ty zebraku wytrzimies? Tak całe zycie bez grzychu...

— Haj? od cegoz gospodyni? — pytała insza.

— Kie Józuś ta nie taki... On juz dziś jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie wystrzydz...

— Wiera tyz bedzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób, pamiętaj, coby my sie wytańcyli...

Józuś wstydził się tego przyszłego księdzostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej prześmiechy począł ją śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józuś ośmielił się tak, że gdy jednego popołudnia przyostali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

— Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

— E? — przedrzeźniła — coześ taki ciekawy?

— Bo bych przysed ku tobie.

— To przydź — kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

— Naprawdę byś mnie przyjęna?

— Jakze? Dy nie na śpas..

I zaniesła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! — pomyślał sobie w radosnem źdźiwieniu — że ja też, głupi, nie wiedział...

Przez cały ten odwieczerz miejsca se nie mógł naleść z niecierpliwości krwi, myślą pokuśną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał —a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciele. Nigdy dotąd podobnego uczucia nie doznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne — do »aniołów«; myślą bał się ich sukień dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznanej, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aże stracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno...

I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józuś! czy ty nie zwaryjujesz pierwej! — mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej postać krzepką, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeświecał, z iskrami oczu, z rzędami białych ząbków; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocze, i piersiach, wyraźnie wzdymających katankę we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach — odsłonionych.

Wyobraźnia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką — przy kopie — na sianie!... Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie wartem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało — widział — sensu. Po to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józuś i wieczerzy jeść nie mógł — telo szczęściem czuł się napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwytał jej uśmiech każdoraźny, jej spojrzenia — chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozchodzić na spanie — każde do swoich kóp.

Józuś ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.

— Jakze bedzie?

— Z cem?

— Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?

— Jak fces — zaśmiała się. I, zaodziawszy chustkę, poszła na halę wyźnią, gdzie nocowywała.

Józuś został w kolebie ze starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.

— Pójdę wyjrzeć na miesiączek, czy wyszedł — rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłómaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Halą wyźnią nazywano skrawek równy w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całem ciałem, choć wieczór był ciepły — wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.

Skoro na halę wyszedł, rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wychodzący ledwo rozwidniał polanę. Na środku stało kilka kóp. Poboku jednej dojrzał posłanie i chustę ciemną. Zbliżył się z dygotem serca.

— To ty Jewciu? — szepnął, stając nad posłaniem.

— Ja. Coz fces?

— Przysedech ku tobie.

— To ląz.

Józuś czuł się, jakby go do nieba wpuścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł skraja, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho. Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością pozierał na Jewkę. Leżała na wznak, chustką owinięta, twarzą ku niebu.

W pobrzasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakąś inszą, poważną, prawie że surową. Onieśmielenie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzał w nią, tak w niebo wmyśloną.

— Gwiozda spadła... — szepnęła.

Józuś spojrzał na niebo za jej wzrokiem, i znów ku niej powrócił oczyma. Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak w febrze.

— Cy ci zimno? — spytała.

— Nie...

— Tak sie trzęsies. Moze ci dać trok chustki?

Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.

— Cieplej ci?

— Cieplej.

— To śpij. Abo patrz na gwiozdy. Widzis, co ich hań.. Jak iskry rozsiane. Więkse, i mniejse, i mało co widne... O — jak sie mienią... Z cego one tyz bedą? Nie wies? co? Jak was tam w skole ucyli?

— To są światy, takie, jak nasa ziemia...

— Głupi... światy... mniejse od śpilki.

— Bo daleko, to sie widzą małe.

— Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie.

Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józuś zaś nie miał ochoty wykładać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.

— To ucą, ze tak daleko... — rzekła po chwili.

— Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

— To śpij. Cy ja ci bronię? — odsunęła się — Mas doś miejsca.

— Kie ja chcę z tobą...

— Dyć ze mną śpis.

— Ale...

— Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józuś, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły się zwężać — sen ją nachodził.

— Jewka...

— Co?

— Jewciu...

— Dyć słysę.

— Jewusiu...

— Coz ta jesce? Śpij, bo juz cas.

Józuś nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustą i sparł dłoń na jej piersiach. Nie broniła mu, spytała ino:

— Musis tu rękę kłaść? nie uśnies inacy?

A Józuś, czując pod palcami wzgórki ciepłe, wznoszące się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

— Lez spokojnie — rzekła ostro.

Ale Józuś już na nic nie dbał. Płomieniał cały pragnieniem. I śmiałości strasznej nabrał: Przecie go sama wołała... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. Objął ją mocno rękami i począł szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół pacierza. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smętla słabego.

— Coz tobie sie bazy, moi ludzie? To cie tego tam ucyli?! A spytałeś sie mie choć, cy cie kocham?

Poczem złagodziła nieco:

— Jakbych cie kochała, to co insego. Ale co ty wies o tem.

Józuś ledwo się osatał ze ździwienia przykrego i z upokorzenia.

— To po co-ześ mie wołała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kazdy spać moze. Miejsca doś. I nikt nie broni... Ale widać juz, ześ miasto przesed... No ląz-ze, ląz — dodała pobłażliwie — nie smuć sie...

Ale Józuś ani myślał ostać. Porwał się w zło-

ści z posłania, poszedł po polanie aż na drugi koniec hali, tam długo siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro Józuś, późnym już czasem wchodząc do koleby, skrzypnął drzwiami, Szymek stary podniósł kosmatą głowę z posłania i, rozespany, spytał:

— Jakoz ta ten miesiącek... wysed?

JĘDRZEJ BAJA
I POWIEŚCIOPISARZ

196.

W Zakopanem żył Jędrzej Baja. Choć mógł żyć i gdzieindziej; ale dla historyi prawdziwej potrzeba, aby tu żył. I nie doznaku się tak nazywał; ale cóż tam o nazwisko, aby jeno człek był, jakiego potrzeba, a takim znowu doznaku był ten Jędrzej Baja.

Był to człowiek dość starawy i dość samotny na świecie. Dzieci tam jakieś miał pomiędzy ludźmi, ale te się i mało o ojca troszczyły; nikto se głowy nie zaprzątał jego żywobyciem. A to żywobycie jego nijakie było poprostu powiedzieć. Opatrzność dość nierzadko przymykała swoje łaskawe oko trójkątne na jego oczywistą potrzebę — no jednem słowem: nędza go morzyła. I nieraz zabiadał w sercu na ten mizerny żywot swój, a przytem Panu Bogu dużo przykrości pocichu powiedział, iże się nie stara o niego

jak należy, lecz go przy inszych pomija, jakżeby już takim ostatnim dziadem był, nie gazdą.

I raz przy takiem biadaniu przyszło mu na pamięć, jak się to Sabale przy podobnym schyłku żywota dobrze na tej ziemi wiedło: jak go to ludzie honorowali, gdzie zaszedł, jak go to panie z Warszawy zapraszały na wieczór do siebie i częstowały herbatą, koniakiem... Ino mu było żyć a nie umierać. A to wszystko ino za to, że im Sabała umiał opowiadać. I pomyślał sobie Baja:

— Mozeby sie puścić na ten talant...

Wiedział on co prawda, że nie ma w sobie tego składu, co Sabała miał, ale se dumał:

— Spróbować nie zawadzi. Na głupości ludzkiej zarobić, to nie grzych.

No i zaczął próbować. Zaczął zmyślać historye na podobieństwo Sabałowych i nachodzić ludzi, o których wiedział, iże Sabały radzi słuchiwali. Ale mu się zrazu nijak nie szczęściło. Ludzie, skądinąd dobrzy, odwracali się plecami i wyraźnie dawali poznać po sobie, że go słuchać nie chcą. Baja wiedział co prawda, że te historye nie takie są, jakie mają być, i nie dziwił się, że ich nie słuchają, ale mimo to, gniew go na ludzi pory-

wał. Zanadto ich letko ważył, żeby im darować. Nieraz też szepnął dobrodusznie:

— Pockajcie, psie... ja was tu przymusę...

I coraz większej śmiałości nabierał; napadał ludzi całkiem przemęczonych, którzy go radzi nieradzi słuchali; po drodze idący przyznawał się do znajomości z kim tym, aby mieć słuchacza, a gdy ów człowiek zdumiony powiadał, iż pierszy raz jest w Zakopanem i pierwszy raz dopiero niby Baję widzi, Baja spokojnie zaprzeczał: »Przecie-ście byli łońskiego lata... nie? Toście se musieli zabacyć«.

I nic go w tej drodze ku świętemu celowi nie zrażało. Zaś najochotniej zwracał się ku paniom, jakoby przeczuł w rozumie, iże łacwiej jest u nich powodzenia nabyć i zrozumienia dla swoich talantów. A wreszcie z czasem nabierał i wprawy, i dużo składniej już mu się bajało.

Minął rok jeden, i drugi — Jędrzej Baja stał się osobą znaną w Zakopanem. Opowiadano o nim po Warszawie — to też panie, z Warszawy tu przyjeżdżające, musiały go koniecznie widzieć, słyszeć, aby znów mogły o nim opowiadać.

Przyjeżdżały po niego fiakrami, zapraszały go na wydziór, tak, iż nie starczył

wszędy być, gdzie go proszono. Dawał się częstować, poić, nawet uwielbiać się nie bronił — w miarę skromnym był, nie przesadzał.

I dobrze mu się wiedło. Coraz częściej zdarzało się, że wśród zgromadzeń większych opowiadał, a słuchali go jak ojca, nikto się na głos oześmiać nie ważył, choć tam i młodzież letkomyśląca bywała. Opowiadania jego krążyły pomiędzy ludźmi, już nawet trafił się taki, co je chciał spisywać.

I sława Baji rosła, a on się wsłuchiwał w nią — bystre miał ucho — i uśmiechał się do swoich myśli, z którychby się nikomu nie zwierzył, chyba gdyby spotkał człeka do swej upodoby. Hyr szedł po ludziach. O nikim gwary nie było, ino o Jędrzeju Baji. Gdzie się ruszyć, to: »Jędrzej Baja — Jędrzej Baja« – słyszało się ustawicznie, i zdawało się, że i krowy już i woły na tę nutę ryczą.

O Sabale doznaku całkiem zabaczono; tem łacwiej, że już umarł, a Jędrzej Baja żył. I on też tylko wspomniał o nim czasem:

— Nieboscyk... Boze, świeć mu ta jak mozes... Narobieł on duzo zła na świecie... I talantu takiego ni miał, jak sie niektorym

zdajało... E tak ta bajał jak mógł... Zeby zył dziś, toby sie mógł odemnie przyucyć... nie chwalęcy sie, bo wsyćko w rękach boskich... i talant i wsyćko, cego ludzie ni mają.

To mawiał głośniej, zaś pocichu trochę se inaczej myślał. Czuł on w rozumie, że po śmierci znowu Sabale trza będzie ustąpić, ale mu ta poprawdzie o to nie chodziło; chciał jeno dożyć, jak Sabała, w poszanowaniu doczesnem.

Tego dopiął uczciwie, i znał granice swojego talantu.

Jeno niekiedy cicha obawa go naszła, czy się też, broń Panie Boże, nie trafi człek taki, jak natenprzykład nieboszczyk Sabała, coby zechciał o tę mizerną sławę hapelować... Wtedy kto wie, jakby było... Ludzie są tacy dziwnie nie jednacy... czasem im to, czasem owo... gotowi by o Baji zabaczyć...

Ale to rzadkie były wątpliwości. Na nic takiego się nie zanosiło. Ludzie Baję honorowali, jak dotąd — jeszcze bardziej — a on im opowiadał. I wszystko było dobrze.

*

Aże w jeden czas, zdarzyło się, przyjechał do Zakopanego sławny powieściopisarz.

202.

— No, nic. Przyjechał, to przyjechał, to znowu pojedzie.

Ba! ale ledwo dzień pobył, a już tyle o nim dzwonów, coby tu rok conajmniej siedział.

Wszystko się o niego dopytuje, gdzie mieszka, jak, co, gdzie wieczerze jada — mało, że się o insze rzeczy nie pytają: gdzie po wieczerzy chodzi przed spaniem, i tam dalej. Z dnia na dzień coraz gęstsza idzie o nim gwara.

— Nic to — myśli se Baja — nowoś, to zawdy ciekawi... I ja by go tyz chciał widzieć.

Ba! ale gorzej. Nikto już Baji nie chce słuchać. Tak, jakby naraz wszyscy o nim zabaczyli. Wszystko jeno tam patrzy, tam myśli — tak, jakby wszyscy ludzie szybami się stali, poza któremi widać jeno powieściopisarza. I powtarzają historye o nim, i jego powieści znowiają — o opowieściach Baji zaś głucho, jakby ich nigdy nie było.

— Ho, to juz źle, nie dobrze.

Jędzej Baja naprawdę się strwożył. Ale go jeszcze więcej ciekawość paliła.

— Kiz to djabli... Coz on ma? Cy to, co ja — cy to, co Sabała?

Od odpowiedzi na to, zależało, zdawało mu się, dalsze jego żywobycie na tym padole. Szukał jeno okazyi, jakby się dowiedzieć o tem.

No i trafiła się wreszcie okazya. Zapowiedziano odczyt owego powieściopisarza w Czytelni Zakopiańskiej, jako że będzie raczył czytać na głos swoją najnowszą opowieść.

Zawrzało po całem mieście — (jeno Tatry stały spokojne jak dotąd) – każde, co się jeno ruszać mogło, zbierało się i gotowiło na ten odczyt. Nawet w Sanatoryi całkiem już umierające miękczyły łzami dochtora, coby ich wypuścił.

No i nasz Jędrzej Baja gotowił się. Co stracić, to stracić – to chciał tego powieściopisarza naocznie uwidzieć i usłyszeć opowieść jego, aby módz zmiarkować, co on ma w sobie, że go tak już sławią: czy to, co on (niby Baja) — czy to, co Sabała?

Ubrawszy się przystojnie, skoro czas było iść, poszedł. Stracić, to nic nie stracił, bo go te panie, co przy biletach siedziały, bez opłaty na salę puściły, jako że znały go dobrze; i wszyscy go tam prawie znali.

— Niedawno jesce... — pomyślał se go-

rzko — Ale co ta... wsyćko moze sie znowu na dobre odmienić...

Wszedł na salę i stanął se przy bocznej ścianie, niedaleko stołu, aby módz widzieć i słyszeć dokładnie. Pełno już narodu było; pań, jak zwyczajnie, najwięcej, tak, iże się panowie stracili pomiędzy niemi. Gorąco też było setne i zaciekawienie na twarzach okrutne. Prawie na sam czas trafił, bo drzwi się otworzyły i na estradę wszedł powieściopisarz. Pan był, jako zwyczajnie panowie, niczem się wiela nie różnił.

— No, nic — przerwał se Baja obserwacyę — Słuchajmy...

Bowiem, gdy umilkły oklaski powitalne, powieściopisarz czytać począł. Baja szyję wydłużył i słuchał bardzo uważnie. Widać, więcej chciał wymiarkować, niż samą ową opowieść. Słuchał pilnie, w skupieniu, a serce mu się trzęsło. Wreszcie, skoro już powieściopisarz prawie do połowy w czytaniu doszedł, Baja odetchnął. Mniej już potem uważał, rozglądając się po zebranych w sali, i chwilami uśmiechał się do myśli swoich. Zrozumiał, co chciał zrozumieć — i już go opowieść dalej nie tak ciekawiła.

Powieściopisarz skończył, zszedł z estrady —

oklaski go odprowadzały. Skierował się ku drzwiom bocznym i przechodził właśnie okok Baji. Baja w te razy łokciem go nieznacznie trącił i, przymrugując oczyma, tajemniczo się uśmiechał. A gdy powieściopisarz, tem ździwiony, zatrzymał się, pytająco patrząc nań, czego-by chciał, Baja schylił się ku niemu i szepnął:

— My oba ino wiemy...

A widząc zbliżające się panie, dorzucił:

— Ale nic... spokój... pst...

Korzystając z okazyi i widząc, że jeno z góralem rozmawia, najbliżej stojące panie przystąpiły do powieściopisarza.

— Ach, jakie to wspaniałe!

— Kiedy to pan wydrukuje?

— Czy to prawda, że pan nas już opuszcza? i t. d. albo tp.

Baja zdołał jeszcze szepnąć:

— Kaz bedziecie jeść wiecerzę? Bo bych was chciał spotkać...

Powieściopisarz nie wiedział, komu odpowiadać.

Baja: — To nic, to tak zwycajnie... Ino sie trzymajcie ostro. Juz was nie trapię, bo sie i tak spotkamy.

206

I odszedł. Powieściopisarza wzięły w koło zachwycone, rozanielone z zachwytu niewiasty.

*

Zakończenie, jak najzwyczajniej, u Płonki. Gdy powieściopisarz po kolacyi, pragnąc niby samotności, przyostał w szynkowni — wsunął się Baja, który już długo w bocznej salce czekał i przeze drzwi pozierał, rychło się tam wypróżni.

— No, to my sie naleźli!...

Powiedział to tak radośnie, jakby skądś zdaleka szedł i szczęśliwym trafem go napotkał.

— Nie bedzie wam za przeskodą?

Nie czekając odpowiedzi, wziął stołek i przysiadł się do stołu.

Powieściopisarz, myśląc, że Baja okazyi do napitku szuka — a znał go już z opowieści i wiedział, iże z gośćmi bywa poufały — zawołał o jakiś trunek.

— Nie zawadzi — rzekł Baja — przy tem sie i lepiej gwarzy. Wiecie... takich ludzi, jak my dwa, to ze świecom sukać. Ja was odrazu pojął, jakeście ino do połówki w tym cytaniu dośli. Tak zgrabnie umiecie owijać wsyćko, ze sie widzi: scyra prawda. To właśnie nie byle kto potrafi. Ja juz ten talant prowadzę oddawna — i powiem wam: nic

sie tak nie udaje ludziom, jak taka rzec, co doznaku do prawdy podobna, a całkem nieprawdziwa. A kieby ją jesce przybrać umiejętnie — słowami niby, coby wyglądała jak natenprzykład niektora z pań, co to powiesa po sobie rozmaite siorce, a widzi ci sie: scyry jedwab — to to, moiściewy, straśnie sie ludziom udaje. Ho! ho! bo ludzie miewają wźrok bystry... Blizkich rzecy ino nie ozróżniają. Ale to sie i bydłu przytrafia. To tak naprzykład, wicie, jak z temi portkami... (Podniósł nogę nad stół i pokazał). Prawda? Sukno, jak zwycajnie? Niby wyrobione rękom... He! he! A to o połówkę tańse — masynowe. Ale nikt z blizka nie ozezna.

— Powiem wam... bo ja ten talant oddawna prowadzę, to mi nie dziwne... Ludziom zawse taką ostroś na twarzy pokazujcie, jakby o wielgą rzec chodziło. Wy sie w duchu mozecie śmiać, ale broń Boze wam to pokazować. Juzby wam nie uwierzyli na drugi raz. Wiecie — ja sie trochę od ludzi ucył, a trochę ze siebie... I księza na jambonie tak sie sprawiają. Latego naród słucha, wierzy i nieraz nawet niejeden sie zbecy. Tak trza i tu... Ale co ja wam bede gadał, kiedych widział dziś, ze wy to umiecie.

— Ależ... kiedy ja to naprawdę... ze serca... szczerze... — jąkał zdumiony więcej, niż urażony w dumie swej, powieściopisarz.

— No, przecie my tu sami, to nie potrzebujecie gadać... Ze mną mozecie być tak jak ze sobą, bo ja ten talant oddawna prowadzę. Ludziom trza, coby uwierzyli, ze to scyrze, bo oni wsyćko naprawdę bierą. A tu człekowi przecie o to idzie, coby sie i uśmiał, i ubawieł głupoścą ludzką, i zarobieł przytem — no nie? Przecie to nie grzych. Na to Pan Bóg jednych stworzył, coby sie drudzy z nich śmiali. Ale ludzie niektorzy sami nie wiedzą, cego chcą. Chcą niekiedy od cłeka, coby i smutnie opowiadał. Dobrze — ja i to potrafię. I tak bywa: Jedni smutne historye opowiadają, a drudzy smutnie słuchają. A potem jedni i drudzy sie ciesą. I tak jedni drugich cyganią, jak mogą.

Baja, wypiwszy widać trochę dużo, głowę zwiesił i chwilkę się zadumał.

— Jakby cłek chciał gadać scyrze, toby musiał nic nie pedzieć...

Zerknął przytem na powieściopisarza, czy go nie zdumiał takiem mądrem zdaniem — bo nie musiałby być Bają, jakby tego nie zrobił — a widząc, że powieściopisarz słucha

niby nie słuchając albo udaje, iże nie rozumie, do czego Baja prowadzi, wrócił do poprzedniej gwary.

— Tak, moiściewy kochani... Wsyćko w ręku boskiem... to jest... chciałech powiedzieć: wsyćkiemu człek da radę, jak ino chce. I ja nie mało podeznał, zanim-ech na ten talant przyseł... Teraz mi sie juz, chwała Bogu, doś dobrze wiedzie. I wam sie bedzie wiedło, ino se tak pocynajcie, jak wam doradzam. Bo ja ten talant oddawna prowadzę, to mi nie cudne. Tak se nic nie dejcie po sobie pokazać, ze to nie jest was talant, ba przeciwnie, coby kazdy wierzył, izeście sie z tem urodzili. Wsyćko od Boga...

A co zaś do tych historyi, co opowiadacie, to najlepiej zdaleka — tak coś nie coś — niby o pogodzie — ze to niby nie o tę rzec idzie... A potem blizej, coraz blizej... o samej rzecy... o cem wam ta do głowy przydzie. A jakbyście zaś, wiecie, utknęli w połówce — bo i to sie moze trafić — i nie wiedzieli, co dalej, to najlepiej nie pokazować po sobie, ino o cemsi pocąć, natenprzykład: o płocie, co sie go na drodze spotka, abo o przelatującym piesku... historya sie bez to jesce prawdziwsa wyda, a tym-

casem dalse przydzie. Choć to w pisaniu moze nie potrzebne, bo macie cas podumać. Ino, jak powiadam: górnie! zawdy górnie!...

Choć niby o nicem, to tak, jakby o wielgą rzec chodziło! Tak moi mieli. Ale widzę, ze wam sie juz dłuzy, boście sie tyz i doś dziś natrudzieli... No, ostańcie z Bogem. Spotkamy sie kiedy, to se znowu ugwarzymy. A nie zabaccie zapłacić i za mnie. No, miejcie sie dobrze.

I wyszedł Baja... a powieściopisarz ostał jeszcze... dziwnie rad, że w blizkości nikogo nie było.

JAK JĘDREK ŚKLARZ PO WŁOCHACH JEŹDZIŁ

LEOPOLDOWI STAFFOWI,
NA PRZYPOMNIENIE CERVARY

212.

Jędrek Śklarz, młody gazda, pojechał do Ameryki. I całe lato minęło, a nie dał znaku o sobie; ani do żony nie napisał, ani pieniędzy nijakich nie przysłał. Aż niespodzianie pod jesień przyjechał. Zaraz gruchnęło po wsi — i w najbliższą niedzielę zeszli się ludzie bliżsi do jego chałupy wywiedzieć się, jak tam co porabiał, dużo pieniędzy przywiózł i usłyszeć ciekawości o morzach, o lądach. Po przywitaniach zaraz jęli się go rozpytywać:

— Jak tam w tej Hameryce? Jak wam sie tam wiedło?

— Ja nie był w zadnej Hameryce.

— To-ście ka byli bez teli cas?

— Ja jeździł po Włochach.

— ??

— Coz tak patrzycie... Gadam wam, zech

po Włochach jeździł. Byłech w Tryjestrze, w Wenecyi i Bóg wie jesce ka. Ale musę wam skraja opedzieć...

Poprzybliżali się. Żona Jędrzka też się przybliżyła, choć już słyszała tę całą opowieść. Jędrek urósł w jej oczach. »Do Hameryki to sie tak widzi, jak za miedzę. Kazdy tam jedzie. Ale do Włoch!... To ino jeden ksiądz probosc tam był, i teraz jej chłop drugi«.

Jędrek Śklarz bez dużych próśb opowiadać począł:

— Jak wiecie, wybierałech sie do Hameryki. Ale ze to wsyscy jadą bez Hamburg, ja se udumał pojechać na Tryjestr. Bo ja juz taki wse był od casu przekorny. No i nie wiem, jakim cudem zwiedzieli sie o tym moim zamyśle w Tryjestrze, bo mi przysłali papiery, jak, ktorędy mam jechać, i pisali, coby ino piniądze posłać, to tam juz bedą cekać na mnie ze sifkartą i zabierą mie ze sobą na morze. Ja tez, duchem świętym nie natchniony, usłuchałech dobrej rady, bo mi sie taka widziała, piniądze posłałech naprzód i pojechałech do tego Tryjestru.

Przyjezdzam tam, wysiadam, obzieram sie po stacyi — nikogo nie widzę. Juz mie cosi

w serce pikło. Ale nie tracę humoru, chodzę tu i tam, popatruję — nie, nik sie nie nawija.

Idę na miasto, spytuję sie, ale trudno sie z niemrawcami zgwarzyć. Jeden pojrzy, rusy ręcami — odejdzie; drugi tak samo; trzeci cosi zamamrota — kabyś go zrozumiał; a jest i taki, co sie oześmieje. Mnie juz złoś porywa — myślę se: »Kieby tu moje były rządy, tobych was naucył, jak sie do cłeka porząmnego gada«. Na scęście trafił sie Słowiak, i ten mi dopiero pokazał, jakech mu opedział wsyćko, kany sie mam udać. Zachodzę — gmasysko wielgie, jak ministeryjo, drzwi moze ze sto: do ktorychze tu zapukać...

Pukam skraja, wchodzę, powiadam jak i co — posyłają mie dalej. Idę dalej — tam to samo.

I tak do dziesięci razów. Nareście niby trafiłech. Powiadają mi: Było tu coś, ale niewiadomo, ktoś — powiada — papierów zaządał, ale piniądze — powiadają — nijakie nie przysły. Tak-ech zrozumiał niby z tego, co w jakimsi języku gadali.

Ja tez wpadł w złoś — co myślicie, na taki interes — jak nie zacnę teremtetować!... »Cy ja was sukał, psie jakieś? Kto mie do

216.

jazdy namawiał? Ka piniądze? Oddejcie mi tu zaraz, bo jak nie, to...« Juz nie bacę, com im ta powiedział, bo sie straśnie zhonorzyli, zech to ich niby obrazieł, i wypchnęli mie na ulicę, powiadając, ze jak drugi raz tam przydę, to mie do policyi oddadzą.

Zeby to było tu ka blizej, w Nowym Targu, abo w Sącu, tobych tak prał był skraja... Ale coz — tam miasto wielgie — narodu moc — wspaniałoś strasecna... Moze jaki cysarz akurat przejezdzać, i ujrzy, i bedzie źle. Potem przysło mi na myśl: »Kazby oni piniądze zacyganili, kie to widać państwo duze — takie gmasysko, jak dziesięć kościołów — urzędniki powazne, jak u nas starosty... Kto wie, moze piniądze w drodze ka zginęły, moze jesce nadejdą... Ale jakze ich przeprosić, skorom ich tak sklął? No moze — myślę — na jutro sie udobruchają...

Posełech w miasto, natrafiłech na restouracyę i z tego strapienia opiłech sie tak, ze nie bacę, jakech noc ka przebył, bo-ch sie na drugi dzień nalazł, sam nie wiedziałech ka. Zgratałech sie i patrzę — jakzeby mie kto pałką w łeb uderzył... Ratunku! Wsyscy święci!... Ka oko dojrzy — woda, woda i woda...

— Toście sie pewnie nad morzem naléźli? — wtrącił ktoś ze słuchających.

— Juści ze nad morzem. Ustałech, udumałech — ba! kanych ta dumał! — patrzyłech sie poprostu zgłupiały... wreście myślę:

— Bedę miał cas patrzyć, jak pojadę.

Skierowałech sie ku miastu. Jeść mi sie zachciało; mam wstąpić ka do jakie restouracyje — ale mie cosi w serce pikło, pomacuję po kieseni — oho! bedzies-ta! pinię̇dzy nie cuję. Sukam dalej po sobie — do ostatka nima. A miałech jesce ze sobą kielkanaście śrebła na wypadek. Co robić? Stoję głupi, i coraz mi jest gorzej. Wnetbych był siadł na ulicy i płakał rzewnemi łzami.

Przezwyciężyłech sie wreście. No darmo — niescęście. Posełech prosto ku tej stronie, kanych miarkował, ze panów wcorajsych najdę. Nałaziłech sie niemało, ale-ch wreście nalazł. Ino mi juz było duzo nieśmielej, gdych wchodził. Wcora miałech choć trochę przy sobie, a teraz bez grajcara — widziało mi sie, ize kazdy wie o mojej zgubie. Przyjęli mie tak, jakzeby mie piersy raz widzieli, nik wcorajsego nie przybacył, ino nie chcieli ze mną gadać. Co ja do ktorego, to ten sie odwraca — i tak z koleje. Prosem

218.

ich najpiekniej jak mogę — niktora psia nie słysy. W końcu ich juz ze łzami prawie molestuję... Dopieroz naostatku pokazali mi drzwi — i na tem koniec. Wysełech na ulicę, jak całkém pijany. »No to juz amen« — myślę sobie — »teraz-eś juz, Jędrzku, gorsy, niz najostatniejsy zebrak. Piniądze dyabli połknęli, i teraześ juz na boskiej opiece. Kany sie rusys? W jaką stronę? Ani drogi nie wies nazad bez telo krajów, ani o cem iść, choćbyś i na piechty wracał...«

Tak biadałech nad sobą, popłakując, i błąkałech sie po mieście, zgłodniały. Potem do Pana Jezusa, do wsyćkich świętych, ka jeno jaki jest, mówiłech paciorki, coby sie z lutowali nademną i wydobyli mie z te biedy.

I, widać, wysłuchał mie ktoryś ze świętych lutośniejsy, bo usłysałech naraz naską, wyraźną mową — ino ze z pańska — zapytanie:

— Skąd-ze wyście?

Aze mi serce skocyło z radości. Pojrzałech, i widzę przed sobą osobę ślachetną — no pan był jednem słowem, a mnie sie wtedy przywidziało, ze janioł z nieba umyśnie posłany, coby mie zbawieł.

— Ja, prosem pieknie ich miełości jaśnie wielemoznego pana, ze Saflar, od Zakopanego.

— Zaraz-ech was — powiada — po stroju poznał. A coz wy tu — pyta sie — robicie? Ja mu tyz opedział skraja całą, jak była, historyę az do ostatka. Wysłuchał grzecnie i powiada:

— No to coz teraz myślicie?

— Nic nie myślę — odrzekę — ino cekam opatrzności, moze sie zmiełuje...

Popatrzał na mnie, obejrzał mie od kyrpców do kapelusa.

— Ładny — powiada — strój macie...

— E tak ta, nieostatni..,

Uprzypatrował sie mi jesce, udumał cosi, udumał, wreście powiada z wysoka (juz mi nie dwoił):

— A nie zgodziłbyś sie do mnie za lokaja?

— Hm, cy ja tyz wiem... — odrzekę, a bardzo mi sie niemile zrobiło. Lokaj, to juz najostatniejsa słuzba. Odzywam sie nieśmiało:

— Ja by tyz chciał ku chałupie sie dostać...

— No dobrze — powiada na to, trochę przychmurzony — dostanies sie du domu. Sam cie zawiezę, bo i ja do Zakopanego pojadę tem latem. Ino teraz jadę do Włoch;

220.

mógłbyś ze mną pojechać, powiada, przydałbyś mi sie w drodze...

— Ho, jak tak, to z całem sercem przystaję! — zawołałech. Choć-ech ta i nie wiedział, kany te Włochy, ani choć mi ta i nic o zasłudze nie napomknął. Taki pan jasny — pomyślałech — to mie nie skrzywdzi. Pocałowałech go w rękę.

— No dobrze — powiada — ino stroju nie odmieniaj.

— Pocozbych odmieniał — rzekę — zreśtą i ni mam za co...

Dał mi zaraz na obiad i pośli-my oba wraz — to jest niby on naprzód, a ja na zadku, bo tak mi nakazował chodzić — do hotelu.

Taka, moiściewy, była opatrzność na mnie, co mie po Włochach obwiezła.

— Straśnie ciekawe rzecy powiadacie — wtrącił ktoś ze słuchających, gdy Jędrek przerwał — ale coz było w tych Włochach?

— Dowiecie sie, ho, ho, dowiecie sie niemało, ino bądźcie cierpliwi. To dopiero początek. Na cem ja to stanął? Aha, jak my do hotelu pośli. No nic, w hotelu jak w hotelu. Ja sie plątał, kanych mógł, a pan sie gotowieł do drogi. Kazał se dziewcynę przywieść, coby mu bieliznę poukładała...

— A od cegoz-eście wy byli?

— Ja był tak — więcej od parady. Bo potem sam pan mi powiedział, jak my sie juz spoufalili ze sobą, ize mie przyjął do słuzby latego, zech miał góralski strój na sobie, coby sie ze mną niby po Włochach przekazać, jako ze to ja jego człek jest, a taki siumny. Miał tyz postanowienie ozenić sie ka bogato, jakby sie trafiło, to musiał mieć, jako człek ze ślachetnego rodu, choć jednego ze słuzby na pokaz. A juzby ta, niechwalęcy sie, lepsego nie nalazł.

— No dyć, nima wam co pedzieć... i z urody, i z charakteru... Jakze dalej z tym panem?

— Przenocowali-my w hotelu, i raniutko na morze.

— Jakto, na morze?...

— No na okręt, niby na sif po naskiemu. Straśnie wieldzaźna machina, kościół by na niej mógł stanąć. Dzieli sie na dwie klasy: po jednej stronie siedzą lepsi, po drugiej zaś pośledniejsy naród. Ja był po tej lepsej stronie. Zaraz, jak my ino rusyli, stanąłech se przy poręcy i ni mógech sie dość napatrzyć. Jakby wam to przedstawić... to tak, wiecie, jakby natenprzykład całą dolinę

222.

nowotarską zalała, cego Boze nie daj, woda, a my po niej z tą chałupą płynęli...

— To musi być strach!

— No, zaś takiego strachu nima, bo na okręcie śmielej. Ale zawdy niepewniej, niz na lądzie. Wnet my odjechali tak, ze nika brzegu nie było widać, ino niebo i woda...

– Ej, Boze! — szepnęła trwożnie żona Jędrzka.

— Wiater dmuchał od zachodu, to sie zgurby na wodzie tworzyły, i okręt sie kołysał, az sie na wnętrzu niedobrze robiło. Poczęły sie we wodzie pokazować rozmaite wieloryby...

— Jakiez to te wieloryby?

— Strasne potwory. Płynęły za okrętem i oździawiały pasceki, jak otchłanie ciemne— jakby cekały ino, rychło im co wpadnie. Ja sie tyz cofnął, bo coz bedę Pana Boga kusił, i zbliżyłech sie ku środkowi. A tu tymcasem kielkoro ludzi zachorzało na taką słaboś, co sie morska choroba nazywa. Upatruję mojego pana — a ten nieborak tyz. Nasełech go lezącego w taki mizeryi, ze mi sie az zal zrobiło. I wstyd mie było przy ludziach, bo straśnie nie po pańsku biedota wyglądał. Siadłech nad nim i myślę se: »Jak mi tyz nieborak zemrze... uchowaj Panie Je-

zusie... co wtedy robić? Cheba zabrać te kufry po nim na pamiątkę i wracać nazad ze zalem...« Ale przecie dał Pan Bóg, ze przyseł pomału do siebie. Jak my do Wenecyi dojezdzali, to juz był całkem zdrowy.

— Kanyz to ta Wenecya?

— Jakze wam pedzieć... we Włochach, ale jesce na morzu. Miasto takie, jakiego na świecie nima.

— Jakze, to, na morzu?...

— No na morzu tak stoi, jak inse na lądzie. Zamiast ulic, to woda, i zamiast fiakrów, to łodzie po mieście jezdzą.

— To dziwy...

— Mnie tyz samemu cudno było, jak oni to zbudowali, ki dyabeł im dospomógł, bo to przecie nie na człowieka patrzy, choćby i nie wiem kielo miał rozumów.

— To tam niebezpiecno być musi, jak dyabeł fundamenta kładł...

— No, ale juz poświęcane. Kościołów tyz kielka stoi...

— Byliście w ktorym?

— Byłech we wsyćkich prawie, bo mój pan był straśnie nabozny, zadnego nie wyminął, coby nie wstąpić. Zawdy nosił przy sobie cyrwoną książkę do modlenia i modlił

sie z te książki przed kazdym prawie ontarzem; casem dał mi ją na mieście, cobych niósł, ale ja na niej nic ni mógł zrozumieć, bo po miemiecku była durkowana i jakiesi miemieckie obrazki w niej były; prześlabizowałech ino na okładce jedno wyraźniejse słowo: Bae-dec-ker; ale tyz nie wiem, co miało oznacać.

Kościoły tam bogate, ze samego marmuru stawiane. Jest tam jeden kościół, pod wezwaniem św. Marka, co ani opowiedzieć jego wspaniałości. Co ino kany pieknego, to zwieźli na ten kościół — i taki aze cięzki od tych bogactw. A na wierchu ma trzy banie, znowu takie letkie, jakzeby zywcem z pajęcyny były wydmuchane.

Ale nie ino kościoły, bo i pałace wsyćkie takie strojne. Nic nima, zadnego domu, coby poprostu tak był postawiony, jak wsędy u nas po miastach, ino na kazdym jakiesi wydziwy, ze sie napatrzyć temu nieurada.

To we dnie. A coz dopiero wiecór!... Jak pozaświecają elektrykę, jak sie to wsyćko olśni, poozłaca, jak te światła powpadają słupami we wodę — tak, ize całe miasto, widzi ci sie, na ognistych słupach zbudowane — jak do tego jakieś pokusy dya-

225.

belskie zacną grać i śpiewać różnie na jakichsi mostach pływających, poubieranych w gierlandy — to sie widzi: raj na ziemi... Ani takiego snu człowiek zwycajny za zycia mieć nie godzien.

Ja tez panu mojemu wydziękować ni mógł, ize mie zabrał ze sobą. Człowiek-by zycie zezył i nie wiedziałby, ze takie cuda dziwne są na świecie.

Nie dziwota, ze tam panowie zewsąd przyjezdzają. I w tym casie, kie my byli, było ich tam dość; najwięcy miemców. Pan mi powiedział, ze po ślubie młode państwo zwycajnie tam przyjezdza.

Jednego razu pojechalimy oba z panem na łódce na morze. Po drodze spotkalimy tyz łódkę – pozieram i widzę: siedzi w niej dwoje ludzi starych, moze koło siedemdziesięci roków, abo więcy. On se drzymie rozkośnie, a ona pończochę robi. Gondoler wiosłuje zwolna — i tak jadą... Pokazuję ich panu mojemu i powiadam: »Ci tyz pewnie poślubną jazdę odprawiają, ino sie nieco spóźnili«. Pan mówi: »Miemce«. — »Ale to jakiś« — rzekę — »ucćiwy ten miemiec. Obiecał jej widać przed ślubem, ze ją po Włochach obwiezie — coś przeskodziło, potem

pewnie przysły dzieci, trza je było wychować — tak minęło lat śtyrdzieści — i teraz ją obwozi, jak przyobiecał. Ino trochę zapóźnawo...« Pan sie śmiał moim słowom, bo coz miał insego robić. Juz my sie tyz pomału poufalili ze sobą. No, nie cud — zawdy my razem chodzili. Ino jak my śli po mieście, to sie za mną prędzej niz za nim obzierali.

Przypatrzyłech sie tyz tam i wojsku. Straśnie to mizerne, mundur na tem wisi, jak z więksego brata na mniejsym. Nie wiem do znaku, jakby sie to biło. E tak ta pewnie od parady trzymają se wojsko.

Naród cywilny za to straśnie zmyśny. Nie chce mu sie ta poprawdzie do nicego przyłozyć ućciwie, ale za to śtuki zna lepse, niz cygański naród. On wam bedzie po morzu na kiju jechał....

— Co powiadacie? — cudowali sie, nie wierząc zrazu.

— Dyć-ech sam na swoje ocy widział, nie zblizka, co święta prawda, ale znowu nie z tak daleka, cobych nie ozeznał, jak se siedział na jednym kiju, co sie tam ka jak nazywa, drugim wiosłował i tak jechał. Ho! ho! oni nie takie śtuki jesce znają. Dy oni wieze tak umieją puscać, jak nascy chłopi drzewa. Wiecie, jak drzewo w lesie sie po-

227

letnie, to się naprzód wie, kamy poleci. Tak oni naprzód wiedzą, kamy wiera spadnie. I za nasze bytności tak jedną wieżę spuścili na placu św. Marka. Straśnie to przemyślny naród. Ino że je biedny przytem. Żebraków tam moc, prawie co drugi Włoch, to żebrak. Jakbyś każdemu co prosi, ino po cencie chciał dać, to choćbyś największy majątek miał, musiałbyś wnetki zbankrutować.

Ale wesołe jakieś te żebraki. Gwarzają, że się sam nad nimi opiekuje. Wieczór, to się kamyś chowają, abo się tyż ze panów poprzebierają, coby miastu uciechy dodawać, ale we dnie to ich pełno wszędy. W idziałach tyż kielka

228

pałaców, co były pozamykane, a wieczór się w nich nie świeciło. Pytam się pana: „Czyje tyż to te pałace?” — „Niczyje” — powiada mi — „tak sobie stoją”.

Bogactw jest dużo, jakech już powiedział, ale ino po ścianach i po magazynach. Byli my w jednym, co się muzeom nazywa, to my tam widzieli przeróżnaite zbroje, ornaty, kamienie najdroższe i różnych świętych wyrabianych, a pałacu takim, co w nim król mieszkał za dawna, to my tam oglądali malowania, sklepy, wszelniejakie kosztowności. Ale te wszyćkie bogactwa, co się tam po tych pałacach chowają, to ino kszyn na pokaz. Pytam się pana: „Skąd tyż to ponabywali?

W jaki sposób? Musieli chyba pokraść kamy, bo przecie kupić nie kupili – bo to żebraki, to ich na to nie stać! A pan mi na to powiada, że to kiedyś był bogaty naród i że miał przodków sławnych bardzo, i ci te bogactwa ponabywali: to na wyprawach, to na handlu, to wreszcie za pieniądze gotowe sprawili – i resztki tych bogactw wielgich, to są te zbiory, co je obzieramy. Z całego świata, powiada, zjeżdżają ludzie, coby je oglądać, i za to płacą tutejszym. To jest ich zysk jedyny, bo niczem inszem, że to synowie sławnych ojców, nie mają woli się trudnić.

A cemu oni tych kostowności nie predadzą? — wtrącił któryś ze słuchaczy — mieliby pieniądze na biedę, skoro taka jest, jak powiadacie.

— Ja się tyz pana o to pytał. Powiada, ze predać nikto nima prawa, bo samorząd jest właścicielem, a naród ino ciągnie z tego profit, ze cudzoziemcom pokazuje. To ocie tak naprzykład: Był bogaty graf, miał zamek i we tym zamku wszelkie jakie cudowności, a potem przyszła bieda, nas graf zbankrutował i...

/

Baja i powieściopisarz

(Wybór nowel)

VIII. 1.) Baja i powieściopisarz
II. [2. Wesele Prometeusza
V. 3. Herkules nowożytny
I. 4. O świętym Martynianie
III. 5. „Napoleon"
IV. 6. Zemsta malarza
VI. 7. Schronisko
[8. Jaś z nad brzegu
VII. 9. Jak Józuś chciał, a...
IX. 10. Jak Jędrek szklarz po Włochach...

Wybór nowel: („Bibl. dzieł wyb.")

1. Napoleon
2. O Szymku Martyniewiczu
3. Herkules nowoczesny
4. Jedynej Bajki i powieściopisarza
5. Schronisko . . . .
6. Jak Józio chciał a jak mu wyszło
7. Zemsta [illegible]
8. Jak Jędrek [illegible] po [illegible] [illegible]

Przypiska:

~~[illegible]~~ Jestem pewny, że Dr Pani dwoje „Dzienniczka" daleko przewyższające —

~~[illegible]~~ Staroświecko (mitologię) — — zajmie mnie Pani —

~~Słoneczny [illegible]~~

—

~~[illegible]~~

Przyjmę . . . . że jeśli Zakład weźmie w zakład swój illustr. „Dzienniczek", ~~to~~ to przyniesie ostatecznie zdobyć Zakładowi ~~[illegible]~~ za pozy mniejszy odpowiedni procent ~~[illegible]~~ nad który procent, a który to przez [illegible] mi (znaczenie) wydanie „Dzienniczka".

Stopka: { Od Pani zależy wydanie książki: (wobec zasług [illegible]) —
~~[illegible]~~ p. Dyr. Ossol. wyraził, ~~[illegible]~~ że pozycja pani nad wyd. „Dzienniczka" zależeć będzie od tego, czy Dr Pani podejmie się illustrowania (i nie zażąda ~~[illegible]~~ zbyt wysokiej ceny) (na warunkach przedstawionych.) —

I. III

„Napoleon" (lub Schronisko) 235

(wybór nowel).

2. ~~1. Napoleon.~~
1. 2. O św. Mertynianie
4. 3. Herkules nowożytny
3. 4. Zemsta malarza
5. Schronisko
~~6. Jedni Bogu i pomieszczeniem~~
6. Jak Józef chciał.
7. Jedni Bogu i pomieszczeniem
(8. Jak Jędrek Sklan po Włochach)

Przemyśl:

Jak Jędrek Sklan...

O Wojtku,

Opowieść o planecie